Nr. 11. Lwów, dnia 1. Listopada 1884. Rok VII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Sprawy Galic. Towarzystwa Łowieckiego.

Wydział tego Towarzystwa odbył trzy posiedzenia:

Pierwsze 25. Września. Przewodniczył prezes Towarzystwa hr. Roman Potocki, obecni członkowie: Bogdan Teofil, Rieger Władysław, Dr. Rieger Zygmunt, Simon Edward, Zontak Władysław. Uchwalono:

1. Oznaczono termin Wal. Zgromadzenia Tow. łow. na 12. Października r. b.
2. Wybrano delegata na Kongres myśliwski, mający się odbyć w Październiku r. b. w Wiedniu, Dra Zygmunta Riegera, a udzielenie mu dyrektywy odroczono do czasu, w którym program czynności tego kongresu będzie wiadomy.
3. Wzięto pod ścisłą rozwagę wniosek posła sejmowego Romańczuka, którego wniosku brzmienie następujące:

Wniosek: „Zważywszy, że prawie we wszystkich miejscowościach pod lasami położonych, mniejsi właściciele ziemscy doznają co roku bardzo znacznej szkody w ziemiopłodach, a także w bydle od leśnej zwierzyny; zważywszy, że przyczyną tego jest w głównej mierze niedokładne albo niewłaściwe wykonywanie ustaw o polowaniu i o posiadaniu, tudzież noszeniu broni — Wysoki sejm raczy uchwalić: Wzywa się c. k. Rząd, by c. k. Starostwom polecił dokładniejsze a potrzebom rolników odpowiednie wykonywanie tych ustaw, a mianowicie: 1. żeby w tych miejscowościach, gdzie leśna zwierzyna, osobliwie dziki i niedźwiedzie, robi szkodę w ziemiopłodach lub bydle, wydawały c. k. Starostwa paszporty na broń wszystkim porządnym i zagrożonym gospodarzom; 2. żeby licytacye polowania gminnego c. k. Starostwa przeprowadzały o ile możności na jak największą korzyść i stosownie do woli właścicieli gruntów, w gminie położonych, jak co do wysokości czynszu za polowanie, tak i co do osoby wydzierżawiającej polowanie; 3. żeby c. k. Starostwa przeprowadzały jak największe wyniszczanie zwierzyny szkodliwej dla rolników; 4. żeby c. k. Starostwa przeprowadzały szybkie i sprawiedliwe wynagrodzenie szkód, zdziałanych przez leśną zwierzynę. We Lwowie d. 15. Września 1884. J. Romańczuk, wnioskodawca, T. Bereźnicki, Feliks Biliński, M. Siczyński, Merunowicz, Feliks Pławicki, K. Bobczyński, Romanowicz, Siengalewicz, Otton Hausner, R. Łubieński, Dr. Antoniewicz, Piotr Liniński, Max, Kaszewko, Ba-

deni S., Lenartowicz, Żarski, Ochrymowicz, Tyszkowski, Gniewosz, Kaczała, Kowalski, Struszkiewicz.

Po żwawej dyskusyi postanowiono uprosić członka Wydziału Dra E. Roińskiego, aby zbadał ów wniosek i zdał na następnem posiedzeniu Wydziału sprawę.

4. Uchwalono prosić hr. Tadeusza Dzieduszyckiego i Dra E. Roińskiego, którym na jednem z dawniejszych posiedzeń oddano referat rewizyi i reformy ustawy łowieckiej, by jak najrychlej tą sprawą zająć się zechcieli.
5. Przyjęto do wiadomości sprawozdanie z wydawnictwa kalendarza myśliwskiego i rybackiego, opracowanego trudem redakcyi „Łowca", a ogłoszonego kosztem Towarzystwa. Sprawozdanie wykazało niedoboru 93 złr., uznany jednak pożytek tego kalendarza nakazuje powtarzać w następnych latach to wydawnictwo. Mając nadzieję, iż przy staranniejszem szerzeniu kalendarza nawet zysk się okazać może, postanowiono zniżyć cenę jego na 1 złr., 2 marki, 1 rubel.
6. Uchwalono wnieść jak najgorętszą prośbę do członków Towarzystwa i czytelników „Łowca" o zasilanie go artykułami, a szczególnie bieżącemi wiadomościami myśliwskiemi, tem bardziej, że zapał w wspieraniu „Łowca" znacznie ostygać poczyna, a bez takiej pomocy Pismo istnieć, i uznanego pożytku szerzyć nie może.

Drugie posiedzenie wydziałowe z d. 2. Października poświęcone było wyłącznie wnioskowi posła Romańczuka. Przewodniczył prezes hr. Roman Potocki, obecni członkowie: Rieger Władysław, Dr. Rieger Zygmunt, Dr. Roiński E., Simon Edward, Starzeński Leopold hr., Zontak Władysław. Dr. Roiński referował sprawę wniosku posła Romańczuka. Referat ten postanowiono przesłać Komisyi sejmowej, rozpatrującej ów wniosek. Silnie i dosadnie motywowany, na Ustawie łowieckiej oparty referat Dra Roińskiego wywołał gorące uznanie wszystkich członków Wydziału, co też przewodniczący wyraził w słowach dziękczynnych. — W miejsce ustępującego członka Wydziału Juliusza Eberswald Sieglera powołano pana Józefa Glanza.

Trzeciemu posiedzeniu Wydziału z d. 9. Października przewodniczył wiceprezes Towarzystwa Dr. Michał Gnoiński, obecni członkowie: Glanz Józef, Rieger Władysław, Dr. Rieger Zygmunt, Simon Edward, Zontak Władysław. Torowało ono drogę Walnemu Zgromadzeniu członków Towarzystwa, układając porządek dzienny dla jego obrad. Przyjęto z małemi zmianami Sprawozdanie z całorocznej czynności Wydziału, ułożone przez członka Wydziału Józefa Łozińskiego, jakoteż Sprawozdanie budżetowe, przedłożone przez członka Wydziału i referenta budżetu p. Władysława Riegera.

Walne Zgromadzenie Towarzystwa, zwołane na 12. Października, nie obradowało z powodu braku kompletu. Odroczono je do Lutego następnego roku, do zjazdu członków Towarzystw gospodarczego i łowieckiego.

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieckiego.

Janiszewski Jan.
Knauer Ferdynand.
Komorowski Bronisław, prezes Tow. myśl. św. Huberta we Lwowie.
Konarski Henryk hr.
Towarzystwo myśliwskie w Kołomyi.

SPRAWOZDANIE

komisyi administracyjnej o wniosku posła Romańczuka w sprawie wykonywania przepisów o polowaniu.

Wysoki Sejmie!

Uchwałą Wysokiego Sejmu z dnia 17. Września 1884, przekazany został komisyi administracyjnej wniosek posła Romańczuka w sprawie wykonywania przepisów o polowaniu.

P. Romańczuk stawiając swój wniosek i następnie uzasadniając go w Izbie przy sposobności pierwszego czytania, wyszedł z założenia, iż mniejsi właściciele ziemscy, w miejscowościach pod lasami położonych, doznają co roku bardzo znacznej szkody w ziemiopłodach, a nawet w bydle od leśnej zwierzyny.

Przyznać trzeba, że wniosek ten wychodzi z zasady prawdziwej i słusznej, gdyż włościanie rzeczywiście ponoszą miejscami znaczne szkody przez dziki, wilki i niedźwiedzie. Wniosek ten jednak ma tylko o tyle słuszność, o ile złemu zapobiedz pragnie, drogi, któremi p. Romańczuk do celu dojść zamierza, nie są ani odpowiednie ani możliwe. Przechodząc punkt po punkcie żądania posła Romańczuka, których motywowanie, jak już zauważano, polega na prawdziwem twierdzeniu, dochodzi się do uwag następujących:

1. Żądanie, by uzbroić gospodarzy rolnych w broń palną, szkodom nie zapobiegnie, gdyż wiadomo, że dziki i inna drapieżna zwierzyna nie przebywa w rolach uszkodzonych lecz w kniejach, z których przerzuca się na znaczną odległość, skuteczne jej tępienie zatem może nastąpić tylko przez racyonalnie prowadzone obławy. Dla zapobieżenia szkodom w polu nie strzelby gospodarzom potrzeba, lecz czujności, chociażby bez broni palnej, którą każdy inny hałas zastąpić może. Rozpowszechnienie broni palnej między włościanami nie ochroniłoby ich od szkód, nie przyczyniłoby się lub w bardzo skromnej mierze do wytępienia drapieżnej zwierzyny, a kłusownictwo dotąd nie wytępione przybrałoby naturalnie jak największe rozmiary. P. Romańczuk domaga się, by tylko porządnym gospodarzom prawo posiadania broni udzielano, tak zaś ograniczone żą-

danie jest bezprzedmiotowe, gdyż i dzisiaj porządny gospodarz na mocy ustawy o używaniu broni od prawa tego nie jest wykluczony. Według ustaw obowiązujących wydają obecnie Starostwa paszporta na broń bez różnicy stanu i zatrudnienia żądającego, a ich ocenieniu pozostawionem być musi ze względu na osobę i wykazaną potrzebę, w jakich wypadkach paszporta takie udzielić można. Ustęp pierwszy zatem wniosku jest bezprzedmiotowym, bo żąda wezwania Rządu do tego, do czego władze administracyjne są już i tak uprawnione, a względnie obowiązane. W tem miejscu zaznaczyć wypada, iż rezolucyę do Rządu powinno się uchwalać wtenczas, gdy tego konieczna wymaga potrzeba. Inaczej ta rzecz powszednieje, a w naturalnem następstwie może to spowodować Rząd do nienależytego uwzględnienia takich rezolucyj. Wątpić nie można, że władze administracyjne robią użytek z przysługującego im prawa wydawania kart na broń w tej mierze, w jakiej uznają je za zgodny z interesem ludności i rzeczy samej.

2. Co do punktu drugiego już wedle ustaw obecnie obowiązujących i dziś muszą władze czuwać, by przy licytacyach prawa polowania nie tylko chwilowa korzyść była osiągniętą, lecz, by także osoba dzierżawcy dawała rękojmię, że polowanie będzie racyonalnie wykonywane, że przeto dochód z takowego po upływie czasu dzierżawy nie będzie zmniejszony lub zupełnie zniszczony. Przeciwnie władze baczyć winne, by ten dochód się utrwalał i z czasem nawet wzrastał. Zmiana faktycznego stanu rzeczy, jakiej się tu domaga p. Romańczuk, by nie Starostwa lecz gminy a względnie pojedyńczy gospodarze wskazali Starostwu kandydatów na dzierżawców, jest zupełnie nie uzasadnioną, uchyliłaby w następstwie ingerencyę Starostwa w tej sprawie niemal zupełnie, a w skutkach swych musiałaby być koniecznie tak dla gmin jak i dla gospodarstwa krajowego do najwyższego stopnia szkodliwą. Tu znowu podnieść wypada, że nie potrzeba być właścicielem lub dzierżawcą prawa polowania na pewnem terytoryum, by mieć prawo do strzelania na zwierzynę drapieżną, kwestya zatem licytacyi polowań gminnych nie ma nic wspólnego z zamiarami, które p. Romańczuka do postawienia wniosku jego spowodowały, gdyż trudno przypuścić, by na tej drodze upatrywał środek dostarczania prawa noszenia broni tym, którzy na podstawie obowiązujących ustaw mieć jej nie mogą.

3. Gdzie tylko dziki się rozmnożą i szkody wyrządzają, lub gdzie się okażą inne drapieżne zwierzęta, tam zarządza Starostwo urzędowe polowania. Czy one są skutecznym środkiem, wiedzą o tem najlepiej ci, którzy w takich obławach udział brali. Do wyjątków należy, by na takich polowaniach ubito zwierzynę, na którą się polowało, co się tem tłumaczy, iż tam, gdzie właściciele kniei są myśliwi, polują oni sami umiejętnie i w właściwym czasie, tam też potrzeba urzędowych polowań nie istnieje. Tam zaś, gdzie właściciele lasów polować nie umieją lub nie chcą, w skutek tego i służby zorganizowanej ku temu nie mają, tam muszą władze zarządzać polowania urzędowe, a z braku ludzi, którzyby te obławy ze znajomością rzeczy i miejsca prowadzić umieli, rezultat bywa zwykle ujemny. W każdym razie mają włościanie prawo o takie obławy tam, gdzie właściciele sami nie polują, prosić, obławy te są sankcyonowane ustawą i przeto ponownie uchwalane być nie potrzebują.

4. Punkt czwarty wniosku jest jedynie ważny i istotnie słuszny. Dzisiejsze nasze ustawodawstwo przyznaje poszkodowanemu prawo żądania wynagrodzenia od tego, który mu tę krzywdę wyrządził osobiście lub przez swą służbę albo zwierzęta. Patent Józefiński, który do dziś dnia służy władzom administracyjnym za podstawę przy dochodzeniach o szkody, pochodzące od drapieżnej zwierzyny, przyznaje wynagrodzenie uszkodzonym, jeżeli jest dowiedzionem, że dotyczący właściciel lasów zwierzyny drapieżnej strzelać nie pozwala, lub że takową hoduje. Dziś zatem przeprowadzić dowód na istotną szkodę i winę jest najczęściej prawie niemożliwem, a w każdym razie tak kosztownem i utrudnionem, że poszkodowany woli się wyrzec wszelkiego wynagrodzenia.

Słusznem więc jest aby ustawodawstwo nasze w tym kierunku zmienionem zostało, albo raczej, aby była wydaną nowa ustawa co do wynagrodzenia szkód przez zwierzynę wyrządzanych; ustawa ta musiałaby obejmować nietylko przepisy co do szkód robionych przez zwierzynę w ogóle, lecz musiałaby też odnosić się do zwierząt drapieżnych, których tępienie jest dozwolonem, zatem obejmować także niedźwiedzia i dzika, chociaż to są zwierzęta przechodzące lub wędrowne.

Omówiwszy doniosłość, praktyczność i możliwe następstwa wniosku p. Romańczuka we wszystkich tegoż punktach, pozostaje jeszcze jedna uwaga ogólnej natury do zrobienia.

Role położone bądź to w lasach lub pod lasami, w których przebywa drapieżna zwierzyna, muszą być już z natury rzeczy uważane jako gorsze od innych i mniej odpowiednie. Niebezpieczeństwo uszkodzenia plonów na tych gruntach musi być już przy ocenieniu wartości tych gruntów w rachubę brane, właściciele tychże muszą zatem te warty, ognie i w ogóle czujność, jakiej te grunta wymagają, brać w rachubę przy ocenianiu wartości tej ziemi. Słusznem jest, by o ile to jest w ustawach ugruntowane, od tych szkód ich chronić, by im szkody, jeżeli istotnie ktoś winę ponosi, wynagradzać, ale nie wszystkie środki prowadzące do celu tego, by ich od szkód ochronić, są słuszne i uzasadnione, jeżeli mają one nastąpić kosztem innych praw, gdyż jak już podniesiono, role w takich miejscach położone muszą być klasowane w kategoryi dających plony gorsze i narażanych na niebezpieczeństwo.

Gdy więc we wniosku p. Romańczuka pod l. 1, 2 i 3 postawione żądania są bądźto w odnośnych ustawach unormowane, bądź też nie zostają w bezpośrednim związku z motywami wniosku a wzywanie co do tych ustępów Rządu jest bezprzedmiotowem i nie miałoby celu żadnego, przeto stawia komisya administracyjna wniosek jedynie co do ostatniego ustępu, który ma doniosłość, jest potrzebą ugruntowany i może mieć dodatni skutek.

Wysoki Sejm raczy uchwalić:

„Wzywa się c. k. Rząd, aby przedłożył Sejmowi projekt ustawy zmieniającej ustawodawstwo obecne o szkodach zrządzonych przez zwierzynę w ogóle a w szczególności przez zwierzynę drapieżną“.

Przewodniczący:	Sprawozdawca:
E. Czerkawski.	*Kazimierz Badeni.*

*

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

KOZICA.

(ANTILOPE RUPICAPRA, GEMSE.)

PRZEZ

Dra. M. Nowickiego.

(Ciąg dalszy.)

W Alpach ślepugieł *(Gypaëtos barbatus)* jest postrachem kozic. Porywa on koźlęta i unosi je z łatwością w powietrze, stojące zaś nad przepaściami stare kozice usiłuje skrzydłami w nie strącić, by je potem w głębi pożreć. Ślepugły rzucają się także na strzelców stojących na wązkich gzemsach nad przepaścią i starają się ich stamtąd zepchnąć, na co Tschudi przytacza dowody. W Alpach atoli wytępiają je jako bezwzględne szkodniki; w Tatrach uganiający się za kozicami do orłów nie strzelają, bo im żal strzału na to, co im nie przynosi bezpośredniego zysku.

Skutkiem nierozumnego i zapamiętałego prześladowania kozic zmniejsza się ich liczba coraz więcej nietylko w Tatrach, lecz i w Alpach. Co do Alp Tschudi nie chce uwierzyć w możność wytępienia kozic tamże. Owszem utrzymuje, że one we wszystkich częściach Alp są jeszcze daleko liczniejsze, aniżeli pospolicie twierdzą, uważa za płonną obawę, jakoby w kilku dziesiątkach lat kozice mogły uledz wytępieniu, jak się to stało z koziorożcami, i mniema, że dopóki Alpy będą istniały, będą też miały kozice. Zdanie swoje opiera na tem, że pominąwszy trudy polowania, nieopłacanie się jego i widoczne zmniejszanie się liczby właściwych strzelców na kozice, chronią te zwierzęta przed zupełnem wytępieniem już sama przyroda ich ojczyzny, niemniej jaka taka opieka przepisów myśliwskich, ubywanie drapieżnych zwierząt niebezpiecznych dla kozic, nadzwyczajna ostrożność, czujność i szybkość tychże, wreszcie i ta okoliczność, że rzadziej kozy aniżeli capy bywają strzelane. Jednak przyznaje Tschudi, że kozic dawniej było więcej, że były śmielsze, a teraz są przezorniejsze, że w niedostępniejsze cofnęły się góry. Więc ich nie przybywa, a czego bezustannie ubywa, to się wreszcie wyczerpie. Nie ma też wcale nic ponętnego czytać, jakto niektórzy strzelcy w przeciągu życia swego 300, 500, 900, jeden z nich, Colani, nawet 2880 kozic ubił; owszem jak koziorożce dawniej daleko niższych trzymały się gór, a dopiero w skutek prześladowania do najniedostępniejszych schroniły się turni, tak samo ma się rzecz z kozicami. Zresztą w Alpach wschodnich miejscami już ich nie ma. Blasius poświadcza, że w Alpach w wielu okolicach kozice znacznie się przerzedziły. Osławiony Colani opowiadał mu, że za młodu widywał kierdele złożone nieraz ze 100 sztuk; Blasius widywał ich więcej 30 razem. Jakoż liczniejsze kierdele widać obecnie prawie tam tylko, gdzie się kozic oszczędza, np. w Styryi, nad jeziorem królewskiem *(Königssee)*, lub gdzie w niedostępnych przebywają miejscach, jakiemi są wierchy Berniny.

Z przyjemnością dowie się każdy przyjaciel gór i tych pięknych zwierząt, że one w Alpach miejscami większej niż indziej używały swobody od kilku wieków. Przepisy, na mocy których w Kantonie Glarus Alpy między rzekami Linth i Sernf aż po halę Trugmatt dla kozic i wszelakiej zwierzyny alpejskiej zamieniono w obejścia ochronne, gdzie nikomu ani polować, ani nawet strzelby nie było wolno nosić, sięgają piętnastego wieku. Czasami i na inne działy Alp rozciągano podobną opiekę, przez co ilość zwierzyny znacznie się powiększała. Ośm strzelców ustanowionych od urzędu i zaprzysięgłych upoważniono do ubicia w tych górach między św. Jakóbem i Marcinem dwóch kozic dla każdego obywatela tegoż kantonu odprawiającego wesele, dwom najwyższym urzędnikom kantonu rocznie po jednej, wreszcie rządzącemu burmistrzowi w Zurychu rocznie dwóch za jego staranie około ceny chleba. Zresztą i tym strzelcom zaprzysięgłym w zatyczonych obejściach nie było wolno polować. Podobne obejścia posiada także kanton św. Gala. Tschudi utrzymuje, że obecnie więcej jak 600 do 700 kozic w Szwajcaryi rocznie nie ubijają. Czyż potrzeba więcej?

Tyle co do Alp. W Tatrach rzeczy inaczej się mają. Blasius będąc w r. 1835 w Tatrach, widział, jak się zdaje, liczne kozice, jakkolwiek odmawiamy prawdy słowom jego, jakoby może żadne inne góry nie były liczniej zamieszkane przez kozice, jak przepaściste i niedostępne turnie Tatr. Starzy strzelcy tatrzańscy widywali także dawnemi czasy kierdele po 20 i 30 kozic, np. pod Wysoką, w Szczerbskich wierchach i t. d. Hacquet wspomina je przy końcu zeszłego wieku w Czerwonych wierchach; były w Starej Robocie, w Klinie, w Jamnickiej, gdzie je wytępił Jan Krzeptowski, zdaniem niektórych wcale nieszkodliwy, rozumie się tam, gdzie już nie ma czemu szkodzić, i Jędrzej Janosik; były kozice w Maturowych turniach nad doliną Kościeliską, a bił je tutaj i indziej w tej okolicy Jaćkówczarz z Dzianisza, osławiony niedawnemi czasy rozbójnik, co był jedną ręką z Krzeptowskimi Janem i Jędrzejem; były kozice w Rohaczach, gdzie ich doniszczył Jan Pająk i Samek z Zakopanego i inni, mając gorliwą pomoc w pewnym leśniczym kościeliskim i t. d. Więc też Zejszner wcale nie rozminął się z prawdą, gdy w r. 1851 w namienionej powyż rozprawie tak pisze: „Liczba kozic nie jest wielką; strzelcy znający dobrze miejscowość, zapewniali mnie, że ich nie ma więcej w Tatrach nad 100, a nawet mniej. Liczba ich zmniejsza się coraz bardziej, bo mnóstwo ludzi czyha na nie, i tylko ostrość klimatu i nieporównana chybkość głównie bronią ich od zagłady. Wszelkie jest prawdopodobieństwo, że jeżeli Rząd nie wda się i nie utrudni na nie polowania, jak się to indziej dzieje, kozice zaginą w Tatrach i należeć będą do historycznych zwierząt, jako bobry żyjące w średnich wiekach po potokach niedalekich Krakowa“.

Przy takiej tedy opiece nic dziwnego, że z Tatr nowotarskich, orawskich (Rohaczów) i liptowskich aż po Kry-

wań, niemniej w wielkiej części Tatr spiskich kozice znikły prawie ze szczętem, a od dwudziestu prawie lat rzadko kiedy w wymienionych dzielnicach Tatr zdarzyło się zobaczyć zbłąkaną kozicę lub szczupły kierdelek. Jakoż podczas czteroletnich wycieczek moich (1864 do 1867) po Tatrach w wzmiankowanych stronach raz tylko widziałem pięć kozic razem, a obszedłem te góry prawie całe. Alp przypada na samę Szwajcaryą obszar 40 do 50 mil długi, a 15 do 20 szeroki. Przy znacznej rozległości tych gór i znamienitej niedostępności ich turni, zasłonionych i bronionych częstokroć trudnymi do przebycia lodowcami rozległymi śniegami i znacznem wzniesieniem nad poziom morza, ilość kozic była i jest nieporównanie większa, aniżeli kiedykolwiek w Tatrach była i byćby mogła. Jeżeli mimo to i tam już poczynają utyskiwać na coraz widoczniejszy ubytek tej zwierzyny i obawiać się, aby nie stała się zarówno rzadką jak koziorożec, a z czasem nie wyginęła całkiem, cóż powiedzieć o Tatrach, zajmujących w całej rozciągłości swojej przestrzeń zaledwo 8 mil długą i 2 szeroką, nie mówiąc już nic o tem, że grzbiety i wierchy Tatr są nieporównanie niższe, węższe, mniej rozłożyste od alpejskich, a zatem nastręczające kozicom bardzo mało miejsca stosownego do pobytu. Toż tatrzańskie doliny są w porównaniu z alpejskiemi bardzo krótkie i mniej rozgałęzione, a w lecie przepełnione ludźmi i bydłem; bywa też rok rocznie liczne grono turystów strzelających bezustannie, choćby tylko dla budzenia odgłosu; lasy i limbiny wycięte, kosodrzewina nawet wszędzie coraz więcej niszczona. Żałować więc wypada, że pomimo tych niesprzyjających okoliczności i wbrew prośbom i zachęcaniom do oszczędzania fauny ojczystej, mogą być osoby, które namiętliwości swojej czyto w ofierze dla kraju, czy też dla nauki potłumić nie chcą czy nie umieją, owszem wręcz przeciwnie działają.

Polowanie. Polowanie na kozicę nie może iść prawie z żadnem innem w porównanie; jak bowiem z jednej strony staje się nader uciążliwem dla rączości i przezorności kozicy, tak z drugiej znowu niebezpiecznem dla dzikości i przepaścistości krain przez nię zamieszkanych. Mimo to jednak oddaje mu się wielu z całą namiętnością, podniecaną czyto chciwością marnego zysku, czy też ponętą szukania i pokonywania przygód, niebezpieczeństw i niezwykłych trudów. Cobądź, smutnym wynikiem tej namiętności, godnej zaiste sprawy lepszej, jest coraz to znaczniejsze ubywanie kozic w niektórych górach, a nawet zupełne ich wytępienie.

Opisując poniżej polowanie na kozicę, nie mam bynajmniej na celu ani nauczać kogo, jak ma takowe wyprawiać, jak dręczyć biedne zwierzę i odzierać ojczystą przyrodę górską z jej miłej krasoty, ani też pochwalać lub uniewinniać złego nałogu w tej mierze, lecz czynię to z konieczności, w jakiej mnie stawia chęć wydania monografii wszechstronnie zupełnej.

Dawniejszemi wieki polowanie na kozicę było zabawą panujących. Znaną jest przygoda cesarza Maksymiliana na takiem polowaniu w Alpach tyrolskich nad wsią Zirl nieopodal Inspruku. I dzisiaj w dobrach rządowych w górnej Austryi jest ono zastrzeżone dla cesarza. Wszakże zawsze i wszędzie zajmowali się niem także nieproszeni lubownicy, tak zwani skrytostrzelcy, którzy jak na zające, sarny, kuropatwy, bażanty, tak też na kozicę ukradkiem polowali, a po części na tem polu nawet się osławili.

Obecnie polowanie na kozicę należy mniej do pańskich zachcianek, a strzelcy na nię rekrutują się przeważnie z warstwy ludności niezamożnej. Są to ludzie, jak o nich pisze Tschudi, wytrzymali, umiejący przestawać na małem, dobrze obeznani z właściwościami gór, w których polują, z życiem kozic i sposobami polowania na nie. Orli wzrok, głowa wolna od zawrotu, hart ciała zdolny do znoszenia wszelkich trudów i niewygód, na które naraża błąkanie się po turniach i lodowcach, odwaga nie cofająca się przed żadnem niebezpieczeństwem i połączona z zimną rozwagą, rozum przenikliwy, zdrowe i silne piersi, otóż główniejsze własności myśliwego na kozice. Musi on przy tem zarówno celnie strzelać, jak śmiało i zręcznie umieć spinać się po miejscach, na które nie odważyłaby się pójść najśmielsza koza swojska, użyć nieraz nietylko wszystkich członków, lecz paznogci lub zębów nawet i każdego prawie mięśnia, aby się na urwiskach uczepić, utrzymać, posunąć, zwrócić, podnieść.

Te same przymioty, co strzelcy alpejscy, posiadają także Podhalanie tatrzańscy, trudniący się polowaniem na kozicę, a to dla zysku, jaki im zapewnia onej ubicie. To też jedyną tego polowania pobudką bywało u nich zamawianie kozic przez smakoszów, sami bowiem nimi nie będąc, dla własnej potrzeby tych niewinnych zwierząt nie prześladowali. Po przerzedzeniu takowych w całych Tatrach, gdy już polowanie na nie z strzelbą częstokroć pomimo wszelkich zabiegów i trudów na niczem spełzało, myśliwi prześcigający jeden drugiego w wytępianiu pozostałych resztek, wymyślili dwa sposoby katowania kozic, to jest chwytanie ich w oklepce (żelazka) i na zwódki (sidła). Piekielne te narzędzia są wprawdzie dosyć praktyczne do tego celu, ale służą zarazem do najokrutniejszego i uczucie ludzkie oburzającego dręczenia zwierzęcia, szczególnie oklepiec, zwódka bowiem łatwiej je o śmierć przyprawia, nie wystawiając na długie męczarnie. Wzmiankowane trzy sposoby polowania w Tatrach opiszę poniżej szczegółowo, wprzód zaś skreślę ubiór i przybory myśliwych tamtejszych.

Strój strzelca tatrzańskiego nie różni się prawie niczem od jego ubioru zwykłego [1]), a przybory myśliwskie są daleko prostsze, aniżeli u strzelca alpejskiego.

Na nogach zwykłe kierpce (chodaki) góralskie z surowca i bez wszelkiego okucia, wdziane na nogę [2]) obwiniętą w grubą onóżkę (onyczaszkę), ściągnięte i przymocowane do niej nawłokami (rzemykami); dalej opięte spodnie na pasku, powyż kostek haftkami spinane, sporządzone z grubego sukna białego, ale przez dłuższe użycie dobrze przybrudzone; na ciele koszula ledwie po pas sięgająca z szerokimi rękawami i u szyi wstążeczką, na piersiach zaś zwykle mosiężną spinką spięta; na koszuli przez ramię przewieszona torbeczka skórzana, niekiedy ze skóry świstaczej włosem na wierzch obróconej, bez żadnych ozdób mosiężnych, a na to wszystko biała lub czarna cucha, otóż ubior strzelca z podhala nowotarskiego, który uzupełnia czarny okrągły nizki kapelusz [3]) o miernym brzegu prostym,

---

[1]) Ubiory Podhalan zmieniły się już kilkakrotnie w stuleciu bieżącem. Mój czcigodny przyjaciel Dr. J. Czerkawski będąc ze mną w Tatrach, bardzo się zajmował tym przedmiotem i zapewne ogłosi to, czego się w tej mierze wywiedział.

[2]) Podhalanin chodząc po górach opiera się głównie na wielkim palcu, nie zaś na piętach, jak noszący buty z obcasami.

[3]) Kłobuk; gewerec = stary kapelusz pasterski.

ozdobiony nawleczonemi gdyby paciorki na sznurek białemi muszelkami. Dodajmy do tego strzelbę i przewieszoną przez barki płócienną torbę, toż ciupagę [1]) służącą w drodze do podpierania się, a na noclegu do ciupania (rąbania) smreku lub kosodrzewiny na paliwo, wreszcie wyraz twarzy strzelca, w której maluje się gra namiętności, jakie nim powodują, a obraz będzie skończony.

Wspomniana torbka skórzana mieści w sobie przedewszystkiem naboje, rożek z prochem, torbeczkę (bajtlik) ze śrótem i lotkami, niemniej tytoń (fabrykę), fajkę na krótkim piparku (cybuszku), nóż, sznurki i kawałek sukna napuszczonego oliwą, o którego przeznaczeniu stosowniej na innem miejscu będzie mowa.

Strzelba (flinta) odgrywająca najważniejszą rolę, jest zwykle pojedynką, niekiedy dubeltówką, rzadko sztućcem. Strzelcy noszą ją na plecach pod cuchą lub na niej według potrzeby i okoliczności, a nabojów nie biorą dużo z sobą, aby im nie było ciężko. Nabój stanowi prócz prochu 6 do 7 lotek czyli biegunek z pewną ilością śrótu lisiego, jeżeli strzelcy uważają, że proch tęgo poniesie. Bez śrótu dają 10 do 12 lotek według wylotu strzelby. Prochu używają dwojakiego, a mianowicie tak zwanego hawiarskiego [2]) grubego, którym nabijają, i polerowanego drobnego, którym podsypują cewki kominka, bo hawiarski do niej nie wejdzie. Na jeden nabój więcej potrzeba prochu hawiarskiego niż drobnego. Kulami strzelał jeden tylko strzelec, który miał sztuciec gwintowany. Inni mający pojedynkę lub dubeltówkę używają zwykle lotek, utrzymując, że od tych kozica prędzej ginie, a zraniona prędzej się wyleczy, niż od kuli. Strzelby miewali czasem dobre, bo ciągnęli zysk (haseń) z polowania, wszakże strzelają do kozic najdalej na 40 do 50 kroków.

Cucha [3]) powyżej namieniona, chroniąca od deszczu i zimna, jest kurtka z grubego sukna, zarzucana na barki niby od niechcenia i spięta pod szyją szeroką klamrą mosiężną. Rękawy jej zawsze wolno spadają, a każdy z nich zwykle związany u dołu tworzy wygodną zaimprowizowaną kieszeń (kabzę), do której zarówno strzelcy jak każdy góral lub przewodnik lubi wkładać rzeczy, wymagające chronienia ich od zepsucia, stłuczenia i t. p. Cucha ze sukna pierwotnie białego, przez używanie jest zarówno przybrudzona jak spodnie, wszakże noszą strzelcy jak Podhalanie w ogóle cuchy także czarne. Stosownie do pory polowania bierze strzelec cuchę białą lub czarną. Mianowicie białą i takież brudne spodnie wdziewa aż do Wszystkich Świętych, czarną zaś od tego czasu aż do zimy, aby w pierwszym przypadku był podobnym do głazu, zaś w drugim do barwy kozic, o tej bowiem porze te zwierzęta ścigają się, a capy dają się uwieść pozorowi, jak to już indziej namieniłem.

[1]) Mała siekierka z długiem styliskiem; rąbanica, cieślica = siekiera zwyczajna; krześlica, krzesaczka (od krzesać, rąbać) = siekiera wąska; obuszek = siekierka mała na długiéj lasce; pantok = duża siekiera.

[2]) Wyraz h a w i a r z oznacza górnika kopiącego rudę w bani, utworzony jest z niemieckiego *Hauer*, tak jak n. p. h a n g o t i l i g e n t z *Hangendes* i *Liegendes*. Bania (niem. *Bau*) jest kopalnia kruszcu. Górnictwo zaprowadzili w 13tem stuleciu Niemcy z Czech, co potwierdzają wyrazy niemieckie w niem używane.

[3]) Gunia, hazuka, kabania, kopieniak.

Torba płócienna, przewieszona na cuchę przez obie barki, jest duża, albowiem na łokieć szeroka, na półtora długa. Do czterech jej rogów są poprzyszywane taśmy z płótna dwa łokcie długie, zwane frąbiami, a to tak, iż jedna z nich przeciwnemi końcami swemi przyszyta jest do dwu rogów z prawej, druga tak samo z lewej strony. Strzelec biorąc torbę na plecy, wsuwa prawą rękę między prawą frąbię i prawy brzeg torby, lewą zaś między lewą frąbię i lewy brzeg torby, zbiera potem obie frąbie jedną i drugą ręką, wciągając zarazem torbę na barki, i związuje je na piersiach naprzód na węzeł a potem na kosiłkę czyli kluczkę. Rozpór torby znajdujący się u góry jest bez nakrycia, nie ściąga się też sznurkiem lub rzemykiem, jak zwykłe torby myśliwskie. W niej niesie sobie strzelec zapas żywności (mirendę) a w powrocie z polowania kozicę ubitą. Taką samę torbę płócienną [1]) mają wszyscy Podhalanie, jak to każdemu zwidzającemu Tatry wiadomo.

Zwykłą żywnością strzelców tatrzańskich jest przedewszystkiem pieczony placek z mąki owsianej moskalem (moskalcem) zwany. Wszakże biorą ze sobą także jużto chleb, już też trochę mąki owsianej w braku żytniej, albo kaszy jaglanej, sól, niekiedy kawałek szperki (słoniny), masła lub bundzu, oszczepek lub trochę bryndzy [2]), rzadko kiedy grule czyli ziemniaki, gdyż są za ciężkie. Do gotowania strawy mają kociołek miedziany. Za napój służy im woda. Gdy często chadzają na polowanie, zwyżkę strawy nie noszą do domu, lecz ją chowają na gałęziach świerków (smreków). Mąka w czasie pogodnym nie psuje się im; moskal tylko lub chleb często pleśnieje i gorzknieje. W kolibie i sałasie strawy dlatego nie przechowują, bo się do nich po zejściu bydła z hal ściągają myszy i szkodę im w niej robią. Podczas samego polowania pozostawiają czasem strawę ukrytą w jakiemkolwiek miejscu, aby sobie ulżyć ciężaru w pochodzie po górach, a gdy okoliczności ich zmuszą powracać inną drogą, są wtedy na głód narażeni, gdy się daleko od domu znajdują [3]).

W przyborach strzelców tatrzańskich i alpejskich zachodzi ta różnica, że pierwsi nie znają kijów w Alpach używanych, toż raków, kutych trzewików górskich na kształt raci kozicy sporządzonych i lunetek do wypatrywania kozic. Im wystarczają ciupaga i kierpce, a kozice wypatrują wolnem okiem; karpli nie używają do chodu po śniegu, kierpców nie nacierają żywicą, ani też nie chodzą boso, jak to czynią np. strzelcy w kantonie Schwyz, gdy im przyjdzie po niebezpiecznych spinać się miejscach, przyczem podeszwę nacierają żywicą; bajką wszakże jest, jakoby ci strzelcy dla łatwiejszego utrzymania się na gładkiej skale sami do

[1]) Juhasi mają ją z wełny, wedle honoru ze strzępkami po brzegach.

[2]) Bundz jest sér owczy odwarzony, z którego robią bryndzę lub twarde séry w różnych kształtach, np. séry wałaskie, oszczepki, plecienice, parzenice, brusy.

[3]) Według Żegoty Paulego zażywają strzelcy korzenia słodyczki przeciw zawrotowi głowy na górach. Jest to właściwie k o z ł o w i e c (*Aronicum Clusii*), którym żywią się też kozice, a według podania i dziwożony, t. j. istoty bajeczne w postaci pięknej kobiety, z ciałem kosmatem, długimi włosami i czerwoną czapeczką, u której gałązka paproci; przebywają w pieczarach (np. w Magórze we wsi Łopusznej) nad wodą, i porywają dzieci położnicom, a czasem i dorosłe dziewczęta. Słodyczką zowie się w Tatrach paproć, *Polypodium vulgare* (paprotka pospolita).

krwi nogi sobie kaleczyli. Strzelcy szwajcarscy strzelają bardzo celnie i mają doskonałe strzelby, które nabijają dwiema lub trzema małemi, sztućce zaś wielkiemi kulami ważącemi do dwóch łutów; kul stożkowych wielu z nich przestało używać, gdyż mimo celności strzału wtedy tylko zwierzę zabijają, gdy je ugodzą w głowę lub serce. Zresztą chcącego bliżej poznać ubior i przybory strzelców alpejskich odsyłamy do dzieła Tschudego.

1. Polowanie ze strzelbą.

Podczas niego strzelcy jużto zasadzają się na kozice lub obchodzą je przykremi drogami, by się zakraść ku nim na strzał dogodny, już też ścigają osaczone póty, póki ich nie zapędzą na urwiska, skąd się już ruszyć nie mogą.

Czas trwania wyprawy myśliwskiej bywa rozmaity. Jeżeli szczęście sprzyja strzelcom, powracają już po jednym lub dwóch dniach, w przeciwnym razie bawią do czterech dni, w ostatnich zaś czasach, kiedy ilość kozic w Tatrach znacznie się zmniejszyła, nawet w dniach sześciu do siedmiu nic nie upolowano. Najwięcej kozic ubijają we dnie; przed wschodem słońca i po zachodzie, gdy zmrok (herhawka) padnie, nie strzelają do nich.

Pory polowania na kozice w Tatrach dawniej (drzewiej) w ogólności nie przestrzegano, toż o ograniczeniu takowego w celu oszczędzania tak pięknych zwierząt nie było ani mowy. Głębszej i powszechniejszej trzebaby na to oświaty, mianowicie w rzeczach przyrodniczych, lepszego urządzenia stosunków gospodarskich, silniejszego poczuwania się do przestrzegania praw myśliwskich, większej siły moralnej do panowania nad sobą i stłumienia namiętności myśliwskiej. W braku tego polowano na kozice od wiosny (jaru) do zimy, dopóki się dało, i tylko nieprzystępność Tatr podczas zawalnych śniegów zimowych krótki biedaczkom zapewniała spokój, zresztą cała różnica była ta, że jedni polowali jawnie, a drudzy skrycie. Na Węgrzech miały kozice w niektórych miejscach spokój podczas cięży, kocenia się i odchowywania młodych, jak Fryd. Fuchs o tem stanowczo twierdzi [1]), ale tylko od właścicieli Tatr, nie zaś od skrytostrzelców. Ci bowiem tak z węgierskiej jak z polskiej strony prześladowali je w każdej porze, a bezwzględność ich posuwała się do tego stopnia, iż nie wzdrygali się nawet strzelać matek w chwili, kiedy rodziły, do czego jeden strzelec sam się przyznał przede mną, dodając, że obrzydzenia, jakiego doznał podczas patroszenia zabitej, przez długi czas nie mógł się pozbyć. Po stronie węgierskiej, jak się tam dowiedziałem, wolno było niektórym strzelcom polować pod warunkiem, aby jednej sztuki dostarczyli do kuchni dworskiej. Że niegodziwie nadużywali tego przywileju, wcale się z tem przedemną jako obcym nie taili.

Polowanie pańskie wyprawia się tak po stronie węgierskiej jak naszej jawnie i zwykle w towarzystwie liczniejszem. Taki orszak myśliwski składa się z skrytostrzelców i leśnych, a to nietylko dla większej wygody, lecz także dla bezpieczeństwa myśliwych wtedy, gdy się zapuszczają na obcą ziemię, co się niestety z wielkiem zgorszeniem ludu dość często praktykuje. Polowanie takie następnie mi opisano. „Naprzód gońce przepatrują góry i zachodzą kozicom drogę. Strzelcy rozstawiają się po szczerbinach i przełączkach grzbietu, w ogóle obsadzają wyższe miejsca znane jako zwyczajne przesmyki chybkich kozic, panowie zaś zostają w dolinie na zasadzce, bo nie mogą ścierpieć zimna i wstrzymać się od spania, gdy się napiją; dlatego też zostawiają przy sobie na wypadek pojawienia się kozicy jednego ze strzelców. Gońce dają na znak, że są gotowi, przedewszystkiem hasło czyli głośność, t. j. albo strzelają z pistoletu (pistolca), albo też wołają: Już! żeń! strzelaj! hybaj! waruj! ostrzegając tem strzelców bliższych, a ci dalszych i panów, aby wszyscy byli w pogotowiu. Potem gońce ruszają kozice osaczone i naganiają je ku panom i strzelcom, przyczem jeden krzyczy, drugi strzela i t. p., według (podla) umowy, jaką mieli między sobą. Kozice gonione biegną na znajome perci i zmierzają bądź ku szczytom, aby mieć na oku nieprzyjaciela, bądź w doliny, kiedy zbliżają się do strzelców w zasadzce; często strzelane umykają w limbiny i kosodrzewinę. Czy co ubito, czy nie, wszyscy gońce i strzelcy schodzą się razem (do jedna) do panów, poczem następuje poczesne lub narada, czy dalej polować lub wracać do domu".

Polowanie skrytostrzelców różni się tem od pańskiego, że się wyprawia ukradkiem i w towarzystwie nielicznem, albowiem wybierają się na nie zwykle tylko we dwóch i polują z pogonką, t. j. jeden z nich jest gońcem, a drugi zasiadaczem. Rzadko kiedy wychodzi na nie strzelec sam jeden, gdyż brak pomocy może być powodem niepowodzenia.

Pierwszem zajęciem umysłowem strzelców wybierających się na polowanie jest zbadanie oznak pogody lub niepogody, oraz przypomnienie sobie snu (śniska). Odmiany powietrza poznawają po szczycie Babiej Góry, zażgnieniu Tatr i innych oznakach, jak o tem już namieniono. Sen znowu zawiera proroctwo o powodzeniu polowania i zeń to wróży sobie strzelec, czy kozicę zabije lub nie. Wiele tu na tem zależy, czy mu się kobieta (baba) przyśniła, wonczas bowiem nabiera przekonania, że będzie kozicę patroszył czyli pitwał. Wreszcie następują narady, gdzieby najkorzystniej było udać się, i strzelcy postanawiają iść w miejsce, o którem sądzą, że tam nie uprzedzili ich jeszcze inni, ani też byli ludzie zbiarający do aptek korzenie goryczki (*Gentiana punctata*).

Pora wyruszenia strzelców z domu zależy od okoliczności. Najpierw rozchodzi się o to, aby ich nikt nie dostrzegł, coby ich mógł wstrzymać od złodziejskiej wyprawy, a powtóre, aby powodzenie tejże nie ucierpiało przez brzydkie spojrzenie babskie, które według ich mniemania odbiera szczęście, a co gorsza, sprawia, że strzelba sama na plecach wypali. Czasem wychodzą oni od południa lub na odwieczerz i przy miesiączku, zwykle zaś przed świtaniem, zdążając do regli, gdzie się jeszcze raz naradzają, a stąd ruszają (hybają) ze świtem (po widyku) w turnie. Znając doskonale perci, ulubione upłazki paszniste, miejsca schronienia i przesmyki kozic, układają wprawdzie według tego wyprawę, mimo to jednak dopytują się o ich stanowisku

[1]) W „Krakauer Zeitung" z dnia 12. Września 1865 r., toż 10., 11. i 12. Września 1866 r. przemówiłem w obronie kozic i świstaków tatrzańskich. Pierwszy z tych artykułów, przedrukowany z niej dosłownie w lewockiem czasopiśmie „Zipser Anzeiger" z d. 28. Października 1865, dał powód Fuchsowi do umieszczenia w temże lewockiem czasopiśmie z dnia 4. Listopada 1865 r. artykułu podobnej treści, w którym twierdzi, że po węgierskiej stronie przestrzegano pory polowania.

po drodze także znajomych sobie juhasów i baców [1]). Ci zdradzają im takowe w sposób bardzo usłużny, czego dowodem fakt następujący. Pewien zwidzający Tatry znajdując się raz u Pięciu stawów polskich, dowiedział się od tamecznych juhasów białczańskich, że widzieli obcych (niepilich) strzelców koło Wołoszyna, nakłaniał ich więc datkiem pieniężnym do ujęcia strzelców. Atoli Białczanie przyjąwszy datek nietylko tego pomimo przyrzeczenia nie uczynili, lecz owszem wyjawili jednemu Zakopianinowi, że we Wołoszynie jest kilka kozic i wzywali go, żęby na nie przyszedł, czego on wszakże nie uczynił. Podczas moich wycieczek po Tatrach każdy juhas pytany o kozice obojętnie i bez ogródki zdradził ich stanowisko, jeżeli sam o niem wiedział. W Alpach ma się rzecz inaczej. Tamtejsi bowiem juhasi mają według Tschudego często takie przywiązanie do znanych sobie kozic, iż takowych nigdy żadnemu nie zdradzą strzelcowi. „Chłopcze", rzekł raz juhas do syna swego w obecności Tschudego, „ani za dwa czerwone złote nie chciałbym, abyś mi zdradził kozicę!" Był to cap niepłoszony, który przez długie lata trzymał się jednej hali, a juhasowi pozwalał przybliżać się na kilka kroków.

Na uradzone miejsce strzelcy o świcie razem zdążają pod wierchy i wypatrują stąd kozice w szczytach. W pochodzie swym nietylko posuwają się ciągle poza graniami, aby nie być od kozic spostrzeżonymi, lecz także szczególnie uważają na ciąg wiatru, aby ich nie zwietrzyły, i stosownie do tego uskuteczniają o tej porze ku nim skradkę, którą następnie opisują. „Rano idziemy pod szczyty i wypatrujemy kozice w szczytach, bo wiemy, że przed wschodem słońca i wieczór wiatr duje ze szczytów dołu, kozice więc strzelca poniżej nich będącego nie zwietrzą. Upatrzywszy takowe obchodzimy je po drugiej stronie szczytu, ciągle uważając, czy wiatr duje jeszcze dołu. Gdy zmiarkujemy, że słońce wzniosło się na widnokręgu, a wiatr zmieniwszy wtedy kierunek duje już z dołu ku szczytom, wtedy hybamy czemprędzej w górę powyżej kozic i radzimy, którędy je kraść i gdzie zasiadać na nie. Kierunek wiatru poznajemy po dymie z fajki zapalonej, po poruszeniach trawek, lub też po włosie wolno na powietrzu trzymanym. Jeżeli kozice pod wiatr zbliżają się ku strzelcowi, ten cofa się daleko (preczki), aby go nie zwietrzyły i nie uciekły; przeciwnie kradnie je, skoro wiatr tak się zwróci, że duje od nich ku niemu. Gdy wiatry z różnych stron mącą się [2]), wtedy kozice chyba przypadkowo dadzą się zejść i ubić, bo poczują strzelca tak ze szczytu jak z doliny, lubo lepiej go wietrzą, gdy jest pod niemi, niż nad niemi. W takie wiatry strzelcy wracają do domu lub czekają pod szczytami na zmianę, jeźli mają dość jedzenia przy sobie". Oto jeden przykład zastosowania meteorologii strzeleckiej! O bystrem wietrzeniu kozicy była już przy opisie zmysłu powonienia mowa.

Wypatrywanie kozic jest pierwszem zadaniem strzelców idących na polowanie i wymaga zarówno wzroku sokolego jak wielkiej wprawy w wyśledzeniu wzrokiem bądź kozicy samotnej bądź kierdela w odległych turniach okolicznych, a na tem skrytostrzelcom tatrzańskim wcale nie zbywa.

Już postępując dolinami halskiemi, mniej dbają o własne bezpieczeństwo, nie patrzą bowiem ciągle pod nogi, drapiąc się ponad przepaściami i urwiskami, lecz rzucają wzrokiem na przemian to pod nogi, to na turnie nad nimi spiętrzone, lub też na upłazki pod nimi położone. Od czasu do czasu siędą, by uważniej mogli wypatrywać kozice, co w szczytach będąc czynią zawsze zpoza turni. Wonczas każdy z nich wodzi wzrokiem po turniach od prawego boku ku lewemu lub odwrotnie, opisując zygzakowatą linią poziomą po bokach gór tak długą, jak daleko wyraźny sięga widnokrąg, zarazem spogląda coraz wyżej aż ku samym wierchom, a wprawne jego oko zdoła przytem w znacznej odległości dopatrzeć każdego przedmiotu różniącego się od turni.

Nie mogąc jednak w nim odrazu wyraźnie rozpoznać kozicy, nie zatrzymuje wzroku na nim, lecz goni okiem dalej, a wracając później znowu do najbliższego otoczenia onego przedmiotu, baczy, ażali ten nie znikł lub przynajmniej nie zmienił położenia swego, co gdy rzeczywiście nastąpi, strzelec natychmiast to pozna, chociażby nie widział samego ruchu. Już to samo zapewnia go, że tam się znajduje kozica, a jeszcze bardziej, gdy spostrzeże jakie poruszenie.

Odkrycie swoje udziela zaraz jeden strzelec drugiemu, poczem oba badają najbliższe otoczenie kozic, aby ułożyć plan ubicia ich. Gdy wszakże stało się to ku wieczorowi, odkładają polowanie na dzień następny, wiedząc, że kozice nie pójdą dalej. „Poznanie, czy kozicę upatrzoną zabijemy", opowiadają strzelcy, „mamy z tego, gdy ona jest czegoś niespokojną, sama się od siebie lęka, to rogiem się skrobie, gwizdnie, to znów się pasie lub obziera, nawet hipnie, widocznie się boi, choć nikany (nigdzie) nic nie widzi; w lęku bowiem swoim nie ma miejsca i chowa się choć kany pod turnicę, a wtedy łatwo ją zejść i cieszymy się z tego, szepcąc sobie: Chwała Bogu, zabijemy". Tego stanu niepewności i trwożliwości kozicy nie umieją sobie strzelcy wytłumaczyć; być może, że pochodzi z niedokładnego zwietrzenia nieprzyjaciela.

Polowanie samo rozpoczyna się krótką naradą, jak wykonać skradkę i zasiadkę, przyczem strzelcy zawsze się stosują do prądu wiatru, a dawniejsze ich doświadczenia są dobrym dla nich nauczycielem. Po zapadłej uchwale rzucają z siebie rzeczy niekoniecznie potrzebne, któreby przeszkadzały w spinaniu się po turniach i kryją je w bezpiecznej kolibie [1]), a podzieliwszy między siebie zadanie polowania, każdy zabiera się do wykonania onegoż. Mianowicie rozchodzą się w przeciwne strony, zasiadacz na stanowisko takie, którędy ruszone kozice prawdopodobnie pójdą, goniec

[1]) Juhas tyle co pasterz chodzący około trzody owiec podczas letniej paszy w górach. Baca czyli główny naczelnik juhasów na sałasie, mający zarząd powierzonego sobie stada, robi séry, zna się na lekarstwach, umie też zażegnywać. Pohonicz, pastuch najmłodszy, zaganiający owce z paszy dziennej do koszaru, t. j. ogrodu czyli prasma na sałasie.

[2]) Podhalanie nazywają wiatr wałowym, zmiękowym, halnym.

[1]) Koliba jest właściwie zabudowanie górskie dla owczarzy, chałupa górska z desek zbita, większa od bacówki czyli sałasza. Koliba strzelecka nie jest nic innego, jak przewiesista skała, pochyła ściana lub ogromny głaz nachylony, tworzące kryjówkę, w górze i z tyłu nieco zasłonioną i zdolną pomieścić strzelców i broń ich. Takie koliby są raz na zawsze w różnych upatrzone okolicach, a strzelcy zawsze do nich przychodzą. Prowadząc koło nich zwiedzających Tatry, opowiadają im zdarzenia myśliwskie.

zaś tam, skądby mu było najlepiej do kozic strzelić lub przynajmniej je ruszyć i nagnać na zasiadacza. Gdy jest więcej strzelców niż dwóch, natenczas jeden z nich skrada się i goni, drudzy zasiadają.

Każda z tych czynności, t. j. skradka i zasiadka, mających na celu osaczenie kozic, jest pełną życia. Jeżeli cel wyprawy ma się udać, potrzeba, aby ją strzelcy wykonali z całą przebiegłością myśliwską, najdokładniej znali okolicę, wszelką możebną zachowali ostrożność, zasiadacz i goniec, acz się rozchodzą, zostawali ze sobą w ciągłem porozumieniu, co się też dzieje za pomocą umówionych znaków, które sobie dają.

Zasiadacz pierwszy uskutecznia zasiadkę, udając się pod zasłoną turni na uradzone miejsce zasadzki. Stąd daje gońcowi pewny znak umówiony, jeżeli tam zostaje, inny zaś, gdy postanowił zmienić miejsce i obrać stanowisko lepsze. Przyszedłszy tam, ostrzega znowu gońca, który czekał, wystawieniem ręki lub kapelusza, lecz nader ostrożnie, aby go kozice nie spostrzegły, poczem przyczaja się za granią tak ukryty, żeby mu dogodnie było śledzić kozice, a one żeby go nie mogły dostrzedz.

Goniec ujrzawszy stanowcze hasło i znając miejsce zasadzki, wie teraz, jak się ma dalej zachować. Wstaje więc i skrada się ku kozicom (kradnie je) bezdrożami częstokroć dalekiemi i nader przykremi, musi bowiem obiegnąć jeden lub kilka wierchów (szczotów) przeciwnem zboczem, by kozice tak zejść od przodu, iżby sam stanął na przeciwnym punkcie prostej linii między sobą a zasiadaczem, a kozice były pośród nich obu. Skradkę tę uskutecznia goniec zawsze z góry, raz dla prądu wiatru, powtóre ze względu na to, że kozice pozierają najwięcej w dół, gdzie on nie mając się za co zachylić, mógłby być od nich spostrzeżonym.

W podchodzeniu zwierzyny, co w stromych górach zawsze jest pochodem po wązkiej granicy między życiem a śmiercią, strzelcy jeszcze strzedz się muszą, aby nie zasuścili nogami i nie spłoszyli czujnych kozic, tem więcej jeszcze, aby nie strącili kamyka. Ten bowiem tulając się ku kozicom nietylko sprawia, że one przy pomyślnym wietrze poczują człowieka i zaraz uciekają, lecz także w każdym razie, będąc niejako wiernym ich sojusznikiem, daje im znać, w której stronie groźny kryje się nieprzyjaciel. Toż gdy słońce świeci, muszą strzelcy na to uważać, aby cienia od nich padającego która z kozic przypadkiem nie spostrzegła, bo skoro strzeliwszy nań oczyma obaczy go w innem miejscu, wonczas zaraz miarkuje, że pochodzi od czegoś żyjącego, zmieniającego miejsce, wstaje więc, gdy leżała, wyciąga szyję, gwizdnie, hipnie i już jej nie ma, znikła w przeciwnym kierunku, a za nią towarzyszki. W mgły ciche i suche strzelcy łatwiej uchodzą ócz lub węchu kozic. Zresztą zwierzęta te, acz zawsze ostrożne i baczne, dają się łatwiej i dość blizko podejść, jeżeli nie są płoszone, przeciwnie zaś te, na których zgubę człowiek już się zasadzał, są bojaźliwsze i za najmniejszą oznaką możebnego niebezpieczeństwa szukają ratunku w chybkich nogach.

Tak goniec jak zasiadacz w pochodzie swym przesuwa się to schylony, to raczkiem gdyby mara poza turnie, a pierwszemu przypada zarazem zadanie nie spuszczać z oka ruchów kozic. To też zatrzymuje się od czasu do czasu za turnią zasłaniającą go, kładzie strzelbę na bok, wznosi nieco ręce, opiera je na skale i tak pomagając sobie zarazem niemi i nogami, podnosi się bardzo zwolna, niby wyrastając z za głazu, tak wysoko, aby tylko głowę wychylić i oczy wznieść ponad grań, poczem w takiej postawie przypatruje (dziwa) się kozicom, co robi, bacznie atoli uważając, czy go dostrzegły lub nie. Zmiarkowawszy, że go spostrzegły, ale nie poznały dokładnie, co stąd wnioskuje, że kilkakrotnie to ku niemu i gdzieindziej pozierają [1]), to się pasą, goniec od razu nie śmie odejść, lecz patrząc w równi musi głowę jeszcze powolej zniżać za grań, niż ją był wystawił, dlatego, aby przezorne kozice prędkiem zniknieniem dostrzeżonego przedmiotu nie zaniepokoiły się i nie uciekły, gdy tymczasem przy powolnem jego znikaniu zapominają (zabaczają) wreszcie, że coś widziały, i pozostają bez obawy na miejscu. Gdy zaś śledzone przez gońca spokojnie pasą się i stoją lub leżą flegmatycznie przeżuwając, co jest oznaką, że go nie spostrzegły i nic nie przeczuwają, wonczas przemyka się dalej, wyziera znowu, gdy może, i tak, mając się zawsze w górę, obchodzi je.

Obszedłszy wreszcie wierch zboczem zwykle przeciwnem, spuszcza się potem wprawdzie w dół ku kozicom, nie schodzi atoli nigdy niżej nich, a to dla prądu wiatru, jak się powyżej rzekło. Miarkując, iż się znajduje naprzeciw zasiadacza i na strzał od kozic, wyziera jeszcze raz ku nim z poza turni, a jeźli się wtedy okoliczności dla niego pomyślnie składają, t. j. jeżeli może dogodnie mierzyć i strzelić do której z kozic, oddalonych od niego na jakie czterdzieści do pięćdziesiąt kroków (kroczajów), natenczas daje ognia, gdyż najczęściej jest skutku pewniejszy, aniżeli zasiadacz. W przeciwnym razie, to jest gdy dla miejscowych przeszkód albo odległości strzelić nie może lub też sądzi, że strzał chybi celu, zbiega nieco i ile może, tak się podkrada ku kozicom, aby je przynajmniej ruszyć i napędzić na zasiadacza. Kozice zwietrzywszy go wtedy albo też poznawszy, gdy się im pokaże przypadkowo lub naumyślnie, stają z pierwotku i patrzą nań chwilkę, tupając nogami, potem hipają powoli do góry, od czasu do czasu zatrzymując się, oglądając i gwiżdżąc.

Teraz goniec dla ostrzeżenia zasiadacza krzyknie donośne waruj, gdyż go porywa matura, jak się wyrażają strzelcy. Sam zaś na myśl, że mozolnie osaczona zdobycz mogłaby się wymknąć, wyprężywszy wszystkie mięśnie zabiega cò tchu kozicom drogę i nagania je w stronę zasadzki, krzycząc he-he-he, machając rękami i ciskając kamieniami, one zaś widząc się prześladowanemi i z tej przyczyny gdyby piorunem rażone nuż w nogi, sadząc ogromnemi susy w stronę od gońca przeciwną, a niestety częstokroć wprost na zasiadacza lub nieopodal mimo niego.

[1]) Jak kozica nieprzyjaciela wypatruje, tak strzelec kozicę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Polowanie na jarząbki.

Wspomnienie z tajgi jenisejskiej.

Powróciwszy z punktu zbornego, gdzie wyznaczane były codziennie o godzinie 3. rano wszelkie roboty w kopalni złota, w której pełniłem obowiązek urzędnika sanitarnego z tytułem felczera przy miejscowym szpitalu, nie mając w dniu tym ani jednego nowego chorego, oczekiwałem z niecierpliwością przybycia kolegi M., w całym naszym okółku ojcem nazywanego. Ojciec M., znany jeszcze w kraju myśliwy, starszy od nas wiekiem i doświadczeniem, znakomity strzelec, był wodzem naszym w wyprawach myśliwskich. Wszyscy czciliśmy go i szanowali niezmiernie. Z pośród wielu braci wyznawców Radogosta zaszczycany byłem szczególnymi względami kochanego ojca.

Pewnego razu umówiliśmy się zrobić wycieczkę na jarząbki w tajgę, położoną nad rzeczką Aktalik, noszącą według opowiadania Tunguzów nazwę ich świętej, której zwłoki mają gdzieś nad brzegiem spoczywać. Tajga odległą była od miejsca mego pobytu nad rzeczką Kołymą o kilka wiorst. Wykończając kilka wabików na jarząbki z lotów głuszca, przed kilku dniami ubitego, siedziałem pod oknem mego pokoiku, wysłuchując hasła trąbką jałowcówką, którą nas zwykle ojciec M. zwoływał, aby mu odpowiedzieć silnym głosem młodej piersi, żem gótów na wyprawę. O pół do 5ej przyniosły śliczne cedry i modrzewie, otaczające dziedziniec mego mieszkania, upragnione hasło i odniosly moją odpowiedź. Rozweseliła się dzika tajga, mnie wyczekującemu weselej także zrobiło się w duszy, a serce raźniej uderzyło. W kilka minut serdecznie uścisnąłem dłoń kochanego ojca, i ruszyliśmy w drogę, barwiąc ją sobie gawędką o kraju, wspólnych tam znajomych, to znów rozważaniem, jak mamy na terenie nierównym, łomami i wykrotami pokrytym, polowanie urządzić. Ułożywszy dokładny plan kampanii, stanęliśmy u brzegu Aktaliku. Odpocząwszy nieco, zanurzyliśmy się w dziewiczą tajgę, oddaleni od siebie mniej więcej o 50 kroków. Postępowaliśmy już z pół godziny, przeskakując lub omijając bardzo liczne łomy odwieczne z wielką ostrożnością, aby nie zapaść między te poległe olbrzymy, skąd nie łatwo się wydobyć, bo wysokość ich często dosięgała piętra i więcej, a długość przeszło 100 kroków. Stanąwszy przed jedną z takich poważnych przeszkód, która powalonymi pniami i konarami szeroką zajmowała przestrzeń, a widząc, że pochód w niej więcej mi zajmie czasu, jak obejście lub wyszukanie dogodniejszej przeprawy, ruszyłem dalej pędem. W tem z przyległego gąszczu poderwał się potężny głuszec. Z powodu gęstwiny nie mogłem strzelić do niego, zresztą w lufach miałem półnaboiki nr. 12. z oszczędności prochu i śrótu, które są drogie i trudne do nabycia, a półnaboiki wystarczają na jarząbki. Z niemałem wzruszeniem przypatrywałem się potężnemu lotowi tego królewskiego ptaka, gdy nagle w miejscu, gdzie ojciec M. powinien się był znajdować, rozległ się huk strzału i wnet silny ryk niedźwiedzia. Zadrzałem w obawie o kochanego kolegę i poskoczyłem skwapliwie ku niemu. Przeprawa przez łomy trudną była, rzęsistym okryty potem zbliżyłem się do ojca na 30 może kroków, ryk niedźwiedzia nie ustawał, co tembardziej nagliło mnie do pospiechu. Wreszcie przedstawił mi się obraz na zawsze wryty w pamięci. Ojciec M. stał na olbrzymim pniu wykrotu, wzniesionym na przeszło dwa łokcie nad ziemią, a postawa jego w tej chwili miała istotnie cechę wspaniałą. Szlachetny żar dumy i odwagi jaśniał w oczach i całej postaci, spotkał bowiem przeciwnika godnego siebie, opuszczona ale w pogotowiu trzymana strzelba wskazywała wyczekiwanie, co pocznie groźny nieprzyjaciel, który w oddaleniu kilku kroków stojąc na d y b a c h (tylnych łapach) to miotał się na wszystkie strony, to pochylając swe ogromne cielsko (należał do wielkich brunatnych) rwał darnie i kawały drzewa, ciskając je w koło siebie, to znowu prostując się ocierał przedniemi łapami obficie spływającą z łba juchę. Ryczał przytem wściekle, a ryk ten wiernie powtarzała tajga. Postąpiłem kilka kroków ku teatrowi przerażającego wypadku i ku głównemu jej aktorowi. Wydobyłem stempel w celu wykręcenia z lufy drobnego śrótu i włożenia kuli, bez której nigdy nie wybieraliśmy się w tajgę, gdzie zawsze z tak groźnym przeciwnikiem można się było spotkać. Ojciec M. spostrzegłszy mnie, i przenikając mój zamiar, skinieniem ręki, z uśmiechem dokonanego zwycięstwa, dał mi znak spokojnego zachowania się, stanąłem więc jak wryty wyczekując rezultatu tego groźnego spotkania. Niedźwiedź w prawdziwym szale to zbliżał się do M., to oddalał na kilka kroków, rzucał się ku drzewom, obejmował je łapami, jakby chciał je wyrwać z ziemi, a ryczał nieustannie przeraźliwie. Jak długo trwała ta straszna scena, trudno oznaczyć, wzruszenie nie dozwalało obliczyć czasu. Wreszcie zbliżył się niedźwiedź do pnia, na którym stał ojciec M. On złożył się spokojnie, wytrzymał i strzelił w ucho, poczem nastąpił silniejszy ryk, po nim kilka słabszych, drgnienia konwulsyjne, i Michajło Iwanowicz Toptygin legł martwy u nóg szczęśliwego i dumnego zwycięscy. Poskoczyłem ku niemu, uścisnąłem go, powinszowałem tak wspaniałego jarząbka, i zapytałem uradowany, czy to nie wabik mojej roboty ściągnął tak ślicznie śpiewającego ptaka. Ojciec wzruszony dał mi następujące objaśnienie: „Podszedłem do łomu, przez który trudna była przeprawa, nie chciałem obchodzić go, by się zbyt od ciebie nie oddalić, więc skacząc z jednej kłody na drugą doszedłem do tej, na której mnie zastałeś. Stanąwszy na niej, wywołałem wstrząśnienie jej i odgłos, co zapewne rozbudziło jegomości Toptygina, pod ową kłodą swobodnie spoczywającego. Rozgniewany niepokojem mruknął, czem dozwolił mi przygotować się należycie na jego przyjęcie. Zaledwie zdążyłem naciągnąć kurki, stał już przedemną w odległości ledwie czterech kroków wzniesiony na dybach, z przygotowanemi do uścisku przedniemi łapami. Wymierzyłem między ślepie i palnąłem półnaboikiem. Po strzale niedźwiedź zachwiał się, padł, lecz powstał natychmiast przecierając łapami oczy, poczem zdaje się już mnie nie widział. Reszty sam byłeś świadkiem“.

Po tak silnych wrażeniach i unużeniu wypocząwszy i posiliwszy się nieco, ruszyliśmy dalej brzegiem strumyka, bieżącego ku Aktalikowi. Po drodze ubiliśmy każdy po

kilka jarząbków, i pospieszyli do kopalni po tatara, mistrza w zdejmowaniu skóry ze zwierząt i po wózek dwukołowy, podobny kształtem do tryumfalnych wozów rzymskich, zaprzężony w jednego konia. Po obieleniu niedźwiedzia okazało się, że po pierwszym strzale kości na łbie wcale nie były uszkodzone, oczy zaś rażone śrótem wypłynęły. Na kości czołowej było kilka rysów od śrótu, z kości wewnętrznych oczodołu lewego tylko zewnętrzna w górze, dwoma ziarnkami przebita, komunikowała z mózgiem, a dalej, jakoteż w oczodole prawym znaleźliśmy po kilka ziarnek śrótu, które przebiwszy gałki oczne leżały spłaszczone na ściankach. Drugi strzał padł w ucho. Części miękkie, otaczające i wyścielające kanał kostny przewodu zewnętrznego, były zupełnie rozbite, na brzegu zewnętrznym kanału kostnego nie było uszkodzenia, ale w głębi był on zupełnie strzaskany, w skutek czego wypływał wraz z juchą mózg. Głowa ogromna, zęby zjedzone wskazywały podeszły wiek zwierza, również twardość i grubość kości, która nad nasadą nosa wynosiła 3 cm. Pierwszy strzał oślepił tylko niedźwiedzia, drugi zaś był śmiertelny, bo lubo półnaboik śrótowy, utkwił jednak w lewym płacie mózgu. Podczas obielania niedźwiedzia polowaliśmy z ojcem, a szczęście nam służyło, bo ubiliśmy jeszcze kilka jarząbków. Mieliśmy więc wraz z poprzednio ubitymi dziesięć par.

Poprzestając na zdobytych trofeach, zakończyliśmy w owym dniu polowanie i wrócili w tryumfie do domu.

Sybirak.

KRÓLIKI.

Nie wszyscy znają użytek z tak mało znaczącego na pozór, a tak pożytecznego stworzenia, jakim jest królik rasy poprawnej, słusznie zasługującego na bliższą uwagę ogółu z wielu względów, a mianowicie z tego powodu, że może on być wszędzie i przez każdego chowany, tak w miastach jak na wsi, swobodnie puszczony lub zamknięty w komórkach, stajniach, wozowniach lub klatkach, w lada kąciku, lub w królikarniach na większą skalę. Królik wytrwały jest na zimno, i może być swobodnie w ogrodach, parkach lub lasach w naszym klimacie chowany. Żywi się ladajakimi, prawie nic nieznaczącymi, a wszędzie znajdującymi się przedmiotami, jako to: wszelkimi chwastami, zielskiem polnem i ogrodowem, sianem, koniczyną, lucerną, łubinem, żarnowcem, sieczką z otrębami, liśćmi i gałęziami drzew tak liściastych jak iglastych, szyszkami, żołędziami, kartoflami, burakami, marchwią, w ogóle wszystkiemi jarzynami, oskrobinami i łupinami tychże z kuchni, które po miastach wyrzucane bywają do śmietnika, wszelkiem zbożem, kukurudzą, w ogóle wszystkiem, czem się żywi zając. Więc utrzymanie królika jest wszędzie łatwe i niekosztowne zwłaszcza, że w najciaśniejszem pomieszczeniu może przebywać i potomstwo swoje wychowywać na wierzchu nie w norach, bo królik tylko swobodnie puszczony kopie nory, co z wielu bardzo względów nie jest dobrem. Królik rasy poprawnej, której jest kilka gatunków, waży od 10 do 18 funtów, a nawet daleko więcej, a co najważniejsze, jedna taka para może wydać do roku 80 młodych, a młode są już w czwartym miesiącu zdatne do rozpłodu, żadne więc stworzenie z domowych na całym świecie nie wyda w tak krótkim czasie tyle mięsa zdrowego, posilnego i smacznego, zdatnego na wszystkie stoły, jak królik, z którego wyrabia się także dobry bulion. Tłuszcz, którego królik wydaje dużo, może w bardzo wielu razach zastąpić w kuchni masło. Oprócz mięsa i tłuszczu, które może być spiżarnią dla milionów ludzi, daje królik doskonałe i dość trwałe futro, nie wszystkim znane, szczególnie królik rasy szlachetnej miewa skórkę nadzwyczaj piękną z włosem połyskującym i służy do wyrobu najdelikatniejszych i najdroższych futer damskich, przychodzących do nas z zagranicy pod rozmaitemi nazwiskami dzikich zwierząt. Przy wielkiem zapotrzebowaniu futer sprzedają handlarze farbowane skórki królicze, do złudzenia naśladowane, nawet ładniejsze. Nie jedna dama sądząca, że posiada jakieś prawdziwe drogie futro, sobole, gronostaje lub inne, nosi tylko bardzo drogo opłaconą imitacyę ze skórek króliczych. O prawdziwości pochodzenia drogich futer przekonać się można ze statystyki przewozowych skórek króliczych jakoteż fabryk wyprawy i farbowania tychże. I tak w Anglii wyprawiają i farbują rocznie 30 milionów skórek króliczych, we Francyi 35, Belgia, szczególnie prowincya Flandrya, wysyła tygodniowo 50.000 skórek króliczych do Anglii. Zakłady farbiarskie i kuśnierskie w Gent, w Belgii, zatrudniają 2000 robotników dziennie wyprawianiem i farbowaniem skórek króliczych, wywożonych następnie do Anglii, Ameryki, Francyi, Rosyi, Polski, Austryi, Węgier, państwa niemieckiego i t. d., gdzie znaczne z nich odnoszą zyski. Mamy jeszcze bliżej fabryki, które wyprawiają i farbują skórki królicze i za nie otrzymują miliony talarów np. w Lipsku i w okolicach jego, w Lesznie w Poznańskiem. Dla chętnych nie potrzebne fabryki wyprawy skórek, bo każdy może je sobie sam wyprawić, używszy do tego soli, ałunu i mąki żytniej. Kolor naturalny, byle był jednostajny, jest bardzo ładny, takiemi są gatunki: białoczerwonożółty, izabelowy, czarny, srebrzysty, siwy, aksamitnobiały, siwawoczarny. Prócz użytku futra króliczego do podbicia odzieży, tak rozpowszechnionego teraz, przydatne są skórki na kołdry, które są lekkie, ciepłe i ładne. Sierść królicza z ras tak zwanych angorskich wełnistych, ma połysk jedwabiu, czesze się ją grzebieniem cztery razy w roku, jest bardzo ceniona przez kapeluszników, płacących po 3 rs. za funt na tak zwane kapelusze angielskie męskie i damskie, na czapki, kapy, okrywki, dywany i t. d., prócz tego na przędzę najdelikatniejszą, na wyroby pończosznicze, kaftaniki, rękawiczki, serwety i t. p. Wyroby takie były na wystawie w Wiedniu, gdzie nawet są stowarzyszenia hodowli królików. Nawóz króliczy jest bardzo ceniony przez ogrodników. Z tych wszystkich względów powinnyby króliki w kraju naszym być rozpowszechnione, co przykładem dobrym z góry dałoby się osiągnąć, bo oprócz większych i mniejszych właścicieli, nauczyciele wiejscy, proboszcze powinni hodować króliki ras dobrych w celu rozpowszechnienia i obznajomienia włościan z hodowlą ich, a kraj zyskałby przez to jedno źródło więcej dochodu i dobrego bytu. Dla bliższego obeznania się z hodowlą królików dość rozpocząć od jednej pary.

Konrad Skierkowski,
(Hodowca. Warsz. nr. 39.)

*

KORESPONDENCYE.

Końskie 26. Września 1884. r.

Wyjątek z listu. Posyłam opis naszych polowań, ile mi się zdaje, dosyć ciekawy. O ile w zeszłym roku nie miałem weny, o tyle tego roku Sylwanka Pana hr. K. Wodzickiego wdzięczyła mi się w sposób niewypowiedzianie miły. Mój towarzysz umiał także pozyskać sobie jej względy, bo i dla niego była łaskawą i zalotną, a że jelenia nie zabił, to już nie jej wina. Śty Hubert widać nieuznał go jeszcze godnym tego, nie dość wiernym sługą swoim i nie dość zasłużonym około sprawy łowieckiej. Otóż w straży R. na porębie między Stokami a Kamieniarską górą o 3. nad ranem usłyszałem pierwszy ryk jelenia. Zasłonięty gąszczami podsunąłem się jeszcze zupełnie po ciemku pod porębę, o dalszem podchodzeniu nie mogło być mowy, bo zrąb był zupełnie goły. Wiedząc, że jak się rozjaśni, jelenie zbliżają się do gąszczu, wybrałem sobie dogodne miejsce, z którego mogłem obserwować i strzelić nie będąc widzianym. Tak umieściwszy się, zacząłem w ciemnościach lornetką rekognoskować i ciągle słysząc ryk, spostrzegłem na wzgórzu na tle ranną zorzą zarumienionego nieba niewyraźne postacie, w których poznałem ogromnego jelenia w towarzystwie kilku łań, w odległości około 400 kroków od mojej kryjówki. Proszę sobie wystawić mój zachwyt, kiedy odstawiwszy sztuciec, z pół godziny nasycałem oczy tym widokiem. Aż wreszcie łanie a za niemi jeleń zaczęły się wynosić w bok do przyległego gąszczu, w którym mi znikły. Na chwilę straciłem nadzieję, ale cierpliwość została wynagrodzoną, bo po nie długiem czekaniu wybiegła łania, goniona przez jelenia, a za niemi reszta towarzystwa z gąszczu i wprost ku mojej kryjówce zaczęły się zbliżać. Całe wesele mniej więcej na 80 kroków przedemną się zatrzymało. Już nie lornetkę, ale sztuciec trzymając w rękach, czułem, że nie potrafię strzelić jak się należy, takie szalone miałem emocye, podniecane ciągle powtarzającym się rykiem, nogi się podemną uginały, ręce drżały, serce tak biło, że aż oddech tamowało, spróbowałem raz wycelować, ale nie byłem w stanie. Trwało to z 10 minut, wreszcie jeleń znów oddalając się zaczął za łanią gonić, więc wycelowawszy jak mogłem najlepiej — na czysto chybiłem. Jelenie przerażone strzałem, zaczęły galopem uciekać, a ja wtedy już nie celując drugi raz z przyrzutu strzeliłem i jeleń zrulował, trafiony w kark. — Leżał o 107 kroków od miejsca z którego strzeliłem. Strzał mi zupełnie zaszczytu nie przynosi, bo jak się łatwo domyślić w kark nie mierzyłem, oto jednak mniejsza, bo mam na swoje usprawiedliwienie emocye. Przepyszny czternastak leży u stóp moich, radosnem mojem wołaniem zwabieni leśni przybiegli i kiedy nad wspaniałym trupem zatrąbili, słońce wschodząc przyglądało się tej cudownej scenie. Zabiłem więc jelenia ogromnego na rykowisku, a tem zostało zrealizowane jedno z moich myśliwskich marzeń. Teraz ponieważ w moim towarzyszu zapłonął ten Znicz dotąd tylko tlejący, pragnąłem, aby i jemu się to samo udało. Ustępowałem mu więc zawsze jelenia łatwiejszego do podejścia, a nawet raz napędzając mu jelenia ryczącego, zeszedłem go sam na 80 kroków, stał na połeć, strzał był pewny i łatwy, jeleń wielki, zdaje mi się szesnastak i nie strzeliłem, bom się spodziewał, że wyjdzie na niego, co się jednak nie stało. Nazajutrz podchodziłem wielkiego jelenia pod Kamieniarską Górą, zdaleka dobrze mu się przypatrzyłem, był w rogach słabszy, ale w ciele prawie równie wielki jak ten, którego zabiłem. Tego dnia go nie podszedłem, bo się wcześnie za jakąś łanią do gąszczu wyniósł. Następnego ranka poszedłem w to samo miejsce i po ciemku zeszedłem ryczącego jelenia i trzy łanie, strzeliłem mniej więcej na 100 kroków i jeleń z dobrą komorową kulą, ubiegłszy niedaleko przewrócił się. Niestety jednak nie był to ten, którego w dzień przed tem tu widziałem, po ciemku nie dopatrzyłem się, że rogi nie duże, był to szóstak. Po zabiciu tych dwóch postanowiłem już więcej nie strzelać, ale w wilią wyjazdu wieczór, gdym spostrzegł stado jeleni i w niem tego samego dużego dziesiątaka, o którym wyżej wspomniałem, nie mogłem wytrzymać i zacząłem podchodzć. Jeleń dość rzadko porykiwał, a łania zwietrzywszy czy usłyszawszy mnie zaczęła uciekać, a za nią inne i jeleń. Znając ich weksle, podbiegłem i strzeliłem na 80 czy 90 kroków do jelenia, w chwili jak w galopie przeskakiwał z gąszczu w gąszcz przez żerdzie. Przyszedłszy na miejsce strzału, usłyszałem w gąszczu trzask gałęzi i podsunąwszy się kawałek, zobaczyłem go w odległości 15 kroków, ponieważ jeszcze stał, strzeliłem w kark — podskoczył i upadł. Duży dziesiątak, pierwszą kulą w komorę strzelony. Zabiłem więc trzy jelenie, jestem niezmiernie uszczęśliwiony. Prócz tego jeszcze zabiłem 2 rogacze i 40 kuropatw. Tyle o moich łowach. *Z.....w.*

Bilcze w październiku 1884. r.

Po powrocie z walnego zjazdu galicyjskiego Towarzystwa leśnego w Przemyślu, mam zamiar skreślić przebieg rozprawy nad tematem: „W wielu okolicach kraju podniósł się znacznie w ostatnich dwudziestu latach stan zwierzyny. Jakie wynikły ztąd z jednej strony korzyści dla ekonomii krajowej w ogólności, a jakie z drugiej strony szkody dla gospodarstwa leśnego? Co należałoby przedsiębrać celem podniesienia ekonomicznego znaczenia łowiectwa i jakie byłyby wskazane środki ochronne przeciw uszkodzeniu lasów od zwierzyny?“ Referat tego tematu przydzielono p. Kazimirzowi Remiszewskiemu. Referent wywiązał się dzielnie z zadania, gdyż myślą przewodnią jego wywodów było pogodzenie łowiectwa z gospodarstwem leśnem. Przedstawił nam główne powody wpływające niekorzystnie na łowiectwo w naszym kraju, z których najważniejsze są: 1. kłusownictwo, 2. zwierzęta drapieżne. Co się tyczy kłusownictwa, winę składa na odnośne władze, które tych przewinień surowo nie karzą; drugi powód t. j. mnogość znajdujących się drapieżnych zwierząt, zależy wyłącznie od właścicieli polowania. Referent podniósł ten powód jako jedną z głównych przyczyn, że łowiectwo u nas nie stoi na tym stopniu, jak w Czechach i Poznańskiem. Szkodliwe łowiectwu zwierzęta niszczone być powinne w całym kraju, a zabiegi jednostek wywierają prawie niewidoczny wpływ na ubytek takowych. Na dowód przytoczył ilość ubitych zwierząt szkodliwych łowiectwu w ostatnich 10 latach w dobrach krasiczyńskich, za które zapłacono straży leśnej przeszło 1200 złr., a pomimo tego ilość szkodników nie zmniejsza się, i w każdym roku ubijają tam prawie tę samą ilość, gdyż sąsiedni właściciele dóbr nie starają się wyniszczyć tej plagi łowiectwa. Referent przytoczył nam liczbę ubitej zwierzyny w całym kraju, której oszacowanie stanowi znaczny dochód, nie mogący być lekceważonym. Dalej jako leśnik, przedstawił referent wymownie szkody, a raczej spustoszenia, jakie wyrządzają szczególnie sarny w młodnikach i wyliczył trzy sposoby uchronienia się od szkody: 1. Wbijanie ostro

zakończonych palików obok sadzonek. 2. Smarowanie sadzonek mazią naftową. 3. Ogrodzenie młodników drutem poczwórnym, w wysokości: 1 drut $^1/_2$ metra od ziemi, drugi 1 metr; trzeci $1^3/_4$ metra, a czwarty $2^3/_4$ m., koszta pierwszego sposobu są względne, zawisłe od ceny drzewa. Jeden robotnik przyrządzi dziennie i wbije 200 sztuk palików. Trwałość tego zabezpieczenia zawisła od rodzaju drewna z którego paliki sporządzono, z drewna dębowego liczyć można najmniej na lat 6. Koszta drugiego sposobu zabezpieczenia wynoszą na 1000 sadzonek 31 ct. Koszta ogrodzenia drutem 2 mm. grubym, poczwórnym, na przestrzeni 20-morgowej wynoszą:

	Złr.	ct.
112 kilogramów drutu	31	36
koły 4 m. długie w odległości 8 metrowej, sztuk 180, których wartość stosuje się do ceny miejscowej .	18	—
kółka żelazne ze śrubkami po 4 sztuki przy każdym kole, zatem 720 á 2 ct.	14	40
zaciąganie drutu i robienie pali 20 dni po 25 ct. .	05	—
Razem .	68	76
trwałość ogrodzenia lat 10, zatem roczny wydatek .	06	88
pokostowanie rocznie	01	—
reparacya 2%	—	16
więc koszt roczny ogrodzenia przestrzeni 20-morgowej	08	04

Ostatni sposób zabezpieczenia t. j. ogrodzenie drutem jest wskazany przy młodnikach, wynikłych z naturalnego odmłodnienia, w którym to wypadku dwóch pierwszych sposobów zastosować nie można.

Nad powyższym tematem i referatem wszczęła się dosyć ożywiona dyskusya. Zdań wiele słyszeliśmy, widzieliśmy zapaśników, bezwzględnych nieprzyjaciół sarn, które najwięcej szkody wyrządzają, ale przeważyły głosy decydujące, aby wymienionych przez referenta sposobów należycie doświadczać, a rezultaty umieszczać w „Sylwanie“ lub „Łowcu“. Na wniosek dyrektora szkoły leśnej p. Strzeleckiego Henryka, uchwalono udać się do Wydziału Galic. Towarzystwa łowieckiego, aby tenże starał się u odnośnych władz wyjednać dla Galicyi osobną ustawę łowiecką, jaką mają Czechy. Z mej strony dodać muszę, że dyskusya nad powyższym tematem przyczyni się bardzo do pogodzenia łowiectwa z leśnictwem i pobudzi ludzi myślących do doświadczeń. Wyznać muszę, że nasze zabiegi około odmłodnienia drzewostanów, a szczególnie przy zastosowaniu sztucznych plantacyi, nie odniosą pożądanego skutku, jeżeli opuścimy ręce i niebędziemy się starać wynaleść środka przeciwdziałającego zniszczeniu. W lasach, w których gospodaruję, mamy znaczną ilość sarn i zajęcy, gdyż łowiectwo od lat 25. prowadzone jest racyonalnie. Karmimy zwierzynę, urządzamy lizawki, dajemy sarnom na pokarm kasztany tłuczone, aby je odwieść od uszkodzenia plantacyi. Wszystkie te nasze zabiegi okazały się płonnemi, gdyż sarny potrzebują koniecznie obgryzać pączki i najmłodsze pędy, jako lekarstwo lub może dla rozrywki. Widząc nasze zabiegi około odmłodnienia, zupełnie zawiedzione, użyliśmy różnych sposobów zabezpieczających plantacye. Wbijanie palików ostro zakończonych, okazało się nader korzystne, najbardziej z tego względu, że materyał znajduje się na miejscu i nie wymaga wiele zachodu. Od dwóch lat używamy tego sposobu i zabezpieczyliśmy nasze plantacye od zniszczenia. Wbijamy paliki dębowe długości 1 metra obok sadzonki, palik ostro zakończony u góry, chroni sadzonkę od ogryzienia, gdyż sarna zwykle chwyta pyskiem górny pęd z pączkiem. Czy ten palik istotnie jest przeszkodą dla sarny, stanowczo orzec nie mogę, może tylko odstrasza ją swą nowością, z którą się nie oswoiła, więc dalsze badania bardzo pożądane. Smarowanie mazią naftową sadzonek sosny zwykłej i czarnej, okazało się także bardzo dobre, i pomimo badań, trudno stanowczo orzec, czy sadzonki ucierpiały co do wzrostu. Zresztą chociażby przyrost istotnie się zmniejszył, będzie to tak nieznaczna szkoda, że o niej wspominać nie warto zwłaszcza, gdy się uwzględni, iż sadzonki nie smarowane, będą zniszczone zupełnie przez sarny. Przed wymienionemi ubezpieczeniami sadziliśmy w jednem miejscu cztery razy, i literalnie ani jedna sadzonka się nie utrzymała. Z powodu wysokich wkładowych kosztów ogrodzenia młodników drutem, nie próbowaliśmy tego sposobu w większych rozmiarach. Ogradzamy drutem szkółki w oddziałach, w których mamy liczny stan sarn, i rezultat jest pomyślny, uskarzać się tylko musimy na kradzież drutów. Koszt płotu drucianego potrójnego wynosi na 1 metr długości 6 ct. licząc wartość jednego koła 10 ct. Ogrodzenie drutem jest korzystniejsze, jak łatami, gdyż zwierz a nawet człowiek nie może dostrzedz z odległości drutu cienkiego, zatem sarna w pędzie wbiega na drut, zwykle przewraca się, czem spłoszona wraca. Spostrzeżenie to uczyniłem na śniegu.

P. Ligman, nadleśniczy z Sieniawy wyraził się przy dyskusyi nad tym sposobem zabezpieczania, że nie wierzy, iżby sarna nie prześliznęła się pomiędzy druty i przytoczył jako przykład, że ogrodził łatami swą plantacyę, a sarny leżąc wciskały się między łaty. Przykładowi temu wierzę zupełnie, ale więcej przypisuję dobrego skutku drutowi jak łatom. Na dowód, że drut przyniesie lepsze usługi jak łata, proszę się przekonać, że rozpięty drut w odległości 15 metrów, nie da się dostrzedz, gdy przeciwnie, łata łatwo spostrzeżoną być może. Mieszkałem dawniej obok stawu, tor kolei odległy był od niego od 100 do 130 metrów. Na moczarze stawu była zawsze znaczna ilość kszyków, zatem polowanie znakomite. Cóż na to powie oponent ogrodzenia drutem, gdy się dowie, że polując, zastrzeliłem 10 kszyków, a 5 znalazłem pod drutem telegraficznym z rozbitemi główkami. Zwierz tak samo, jak człowiek nie może dostrzedz drutu, ale widoczną jest łata, o którą kszyk pewnie się nie rozbije.

Wracając ze zgromadzenia Towarzystwa leśnego z Przemyśla koleją, poznałem w wagonie lasomistrza dóbr Jaworzno, który mi polecił sposób zabezpieczenia plantacyi od uszkodzenia przez sarny, mianowicie obwiązywać wierzchni pęd sadzonki płatkiem płótna czerwonego, czyli tasiemką czerwoną długości 10 cm. Sposobu tego użyję w tym roku, a o rezultacie nie zaniedbam donieść „Łowcowi“. Sprawę tę ważną poruszam w celu zachęcenia do dalszych doświadczeń i badań, gdyż na pozór sprzeczne z sobą łowiectwo i leśnictwo są tak ściśle związane, że jedno bez drugiego istnieć nie może. Zwierzostan stanowi istotną ozdobę każdego lasu, ożywiającą go, i rzec śmiało można, że ów zwierzostan żywi i utrzymuje w nas leśnikach zamiłowanie do naszego zawodu, i rodzi oddanie się jemu z poświęceniem. Więc dewizą naszą powinno być: Las i zwierzostan jego — to nierozdzielna całość, którą uznać i do niej czynność naszą zastosować należy.

S. Piotrowski.

KRONIKA.

Do jakiego stopnia trzeba być ostrożnym w kupowaniu przyborów myśliwskich, niech posłuży fakt, który się zdarzył na polowaniu u Exc. hr. Włodzimirza Dzieduszyckiego w Pieniakach d. 16. Września w mojej obecności. Po przeszukaniu ostatniego łanu kartoflanego, a tem samem po zakończeniu polowania, gdyśmy do domu już się udawać mieli, wypaliła hr. Albertowi Cetnerowi strzelba w rękach w chwili, kiedy wszyscy zajęci byli wyciąganiem nabojów z luf. Zdziwiony wystrzałem obróciłem się, i zobaczyłem hr. A. Cetnera, jednego z najwytrawniejszych myśliwych, trzymającego lewą ręką rękę prawą mocno skrwawioną. W przekonaniu, że jakieś nieszczęście się stało, podbiegłem ku niemu w celu opatrzenia ręki, ale na szczęście było to tylko powierzchowne skaleczenie prawej dłoni i silne poparzenie pulsów. Uspokoiwszy się w tym względzie, poczęliśmy dopytywać się, co właściwie się stało. Okazało się, że hr. A. Cetner, nie mogąc wyjąć palcami ładunku ze strzelby, użył w tym celu klucza i za jego pomocą wyjął nabój w $^1/_3$ części, gdy wtem nabój bez żadnej przyczyny wypalił i to w ten sposób, że obie przybitki wraz z śrótem pozostały w środku lufy, a proch rozsadził tekturę ładunkową, przyczem pulsa prawej ręki poparzone zostały, a blaszana część ładunku rękę skaleczyła. To przekonało mnie dowodnie, że przyczyną wypadku był lichy gatunek naboju systemu Lefaucheux, skoro przy użyciu klucza do wyciągania nabojów zdołał sztyft dostać się do masy kapslowej i wywołać explozyę. Mieliśmy jasny dowód, jak lichego gatunku był papier na tym ładunku, kiedy był rozerwany chociaż ładunek wyjęty został z lufy w małej dopiero części. O lichości towaru najlepiej świadczy to, że przy robieniu nabojów tektura pod naciskiem przybitek tak się rozszerza, że ładunek taki ani wsadzić ani wyjąć z lufy nie można. Dobre, grube, francuskie lub angielskie naboje wchodzą zawsze lekko w lufę i w takich nabojach nigdy się nie zdarza, aby sztyft przy użyciu klucza do wyciągania nabojów zdołał dostać się do masy kapslowej i wywołać explozyę. Nabój, który dał powód do wymienionego wypadku, kupiony niedawno u A. Dzikowskiego we Lwowie, był koloru białawego i pochodził z wiedeńskiej fabryki. Dodać muszę, że strzelcowi hr. A. Cetnera, napełniającemu naboje, wypalił jeden taki ładunek przy robocie. Magazyny broni we Lwowie są przepełnione złym i lichym towarem, który jako tańszy zapewne więcej daje kupcom zysku, a nabywców naraża na najsmutniejsze wypadki, zwracamy przeto uwagę na źródło, z jakiego się czerpie przybory myśliwskie. *G.*

Busk 4. Października.

Z przyjemnością donoszę o rezultacie polowania w lasach Buska, własności JW. hr. Kaźmirza Badeniego. Tem więcej godne jest ono uwagi, że przed kilku laty jeszcze polowano w owych lasach nieraz przez kilka tygodni i nie strzelano wcale do zwierzyny. Dnia 3 b. m. ubito tam w 7 strzelb 83 zajęcy, 2 rogacze, odyńca i warchlaka, 2 kuropatwy i 1 słonkę. Kto zna nasze knieje, te odwieczne bory, niedawno jeszcze puste i głuche, ten z radością dowie się, iż obecnie ochrona zwierzyny i zachowywanie ustaw łowieckich dziś już wydają tak obfity plon i na przyszłość rokują świetne nadzieje. *Edward Tokarzewski.*

Suwałki 26. Września.

Dawno już nie pisałem do „Łowca", a pragnę utrzymać z nim łączność, więc służę, czem mogę. Rozpocznę od wiosny. Słonki pojawiły się wcześnie i było ich znacznie więcej, jak w roku ubiegłym. Obecnie w jesieni, gdziekolwiek się zwrócić, mnóstwo kuropatw. W Kleszczówku, gdzie zwykle bywały jedno lub dwa stadka, znalazłem na jarzynnym poletku sześć stad w jednym dniu, a pewnego popołudnia, o kilka wiorst od miasta, trzy stada. Poluję od lat czterdziestu, a nigdy nie spotykałem tyle kuropatw. Dodać winienem, iż w połowie stad młode są jeszcze tak małe, że strzelać do nich nie można. Zajęcy mało. Znani kłusownicy włościanie twierdzą, że po zimie znajdowali wiele zajęcy nieżywych, w skutek motylicy, którą wywołała wilgoć i brak mrozów. Dubelty pojawiły się przedwcześnie, jednego dostarczono mi 20. Lipca, a przed końcem tego miesiąca były już ciągi. Przypuszczałem, że wylew Wisły wyrugował je z siedzib i napędził w nasze okolice, ale podobno prawdopodobniej nastąpiło to z powodu powysechania mniejszych bagien. Dubeltów było w ogóle mało. Na bagnach Poszeszyckich, gdzie niegdyś ubijano po kopie dubeltów, znaleźliśmy we czterech ledwie siedm sztuk. Nie słychać też, iżby ktoś w tym roku bił głuszce i cietrzewie, nader ich mało. Jeden z myśliwych mówił mi, iż czytał w gazetach wiadomość o pojawieniu się w okolicy Warszawy czarnych bocianów. Wielka to rzadkość, ale nie nowość. Dwa razy w życiu mojem spotkałem czarnego bociana. Pierwszy raz przed 44 laty w powiecie Maryampolskim, w okolicy wsi Szumska. Kiedym wówczas przechodził przez bagno w lesie. porwał się i szybko uleciał do lasu ptak zupełnie podobny do bociana, nieco mniejszy, cały czarny, ale ta ciemna barwa nie była kruczą, raczej czarnopopielata, a dziób i nogi zupełnie czarne. Strażnik leśny twierdził, że to był czarny bocian. Drugim razem, przed laty 24. spotkałem czarnego bociana o kilka wiorst od Suwałk na bagnie Bindasy wśród lasu, pomiędzy Krzywem i Sobolewem. Ledwie mnie spostrzegł, uleciał do lasu. Gdym przed laty 20. z drugiej strony tegoż lasu chodził z pp. N. i S. po polach wsi Leszczewo, nadleciał bocian i począł pławić się ponad psami. Stanęliśmy i przypatrywali się bocianowi, bo zdawał się nam być niezwykłym. Spuszczał się kilka razy na bagno, więc dobrze przypatrzyłem się mu. Miał pióra na grzbiecie, skrzydłach i szyi czarnopopielato, brzuch tylko był biały, dziób i nogi czarne. P. S. chciał go zastrzelić jako osobliwość, ale protestowaliśmy przeciw temu zamiarowi. Wtem nadszedł gospodarz, którego chałupa stała może o 500 kroków od lasu i ukazał nam sosnę, oddzielnie stojącą na polu na jakie 200 kroków od lasu, a na niej było bocianie gniazdo. Na wiosnę wróciła tylko samica. Po kilkunastu dniach ulatywała z gniazda na bagno w lesie, i pewnego wieczora przywiodła z sobą czarnego bociana. Przylatywał on zwykle na gniazdo ze zmrokiem, a odlatywał do lasu wraz ze świtem. Z tej pary wylęgło się troje mięszańców, z których jednego właśnie spotkaliśmy. Jest to dowodem, że czarne bociany łączą się z pospolitymi, które na naszych strzechach widzimy. *R. Wierzbicki.*

Zapytanie. W dawniejszych książkach myśliwskich polskich spotykam nazwę „jaźwiec", oznaczającą borsuka (*Meles taxus, der Dachs*). Zkąd od niedawna nazwano to zwierzę borsukiem? Winienem nadmienić, że w języku rumuńskim *Meles taxus* zowie się także borsukiem, z akcentem na drugiej zgłosce. *C. K.*

Z Hrubieszowskiego.

Jestem namiętnym myśliwym, ale z chartami, gdyż mimo najszczerszej chęci wprawienia się w celnem strzelaniu do zwierzyny, nie doprowadziłem tej sztuki nawet do mierności. Prawdopodobnie temperament mój jest tego powodem, ostatecznie jestem niepospolitym pudlarzem, i takim podobno do końca życia pozostanę. Ile to z tej przyczyny znieść musiałem od ojca i towarzyszów ciężkich przykrości, Bogu wiadomo. Więc jestem charciarzem i wedle starej tradycyi w dniu św. Michała wybrałem się z służącym moim Michasiem na polowanie, zabrawszy z sobą wyborną smycz chartów. Wiem z doświadczenia, że zając w tej porze przesiaduje w „komeszy" t. j. na łąkach, pastwisku lub uroczysku, grzebiąc sobie kotlinę między kępami lub krzaczkami łoziny czy tarniny, bo w tej porze niemal każdy gospodarz podoruje ścierniska i ugory na zimę, więc płoszy go, zwłaszcza gdy jesień mokra, a rozgrzęzła ziemia utrudnia zającowi szybkie pomykanie. Otoż jeździmy już kilka godzin po obszernem pastwisku, a muszę nadmienić, że w tej bezleśnej okolicy zając z powodu mokrej wiosny nie gęsty, bo wykocone w marcu i kwietniu zajączki padły ofiarą zimna i słot. Wreszcie wymyka kopyra, gracz, ale i moje charty nie kpy, poszły za nim ku „Łysemu wzgórkowi", na którym znajduje się kilka, jedynych w tej stronie, dużych kamieni. Ja jechałem stępo, patrząc na pomykające charty, a Michałek puścił się naprzód na złamanie karku. Zając, psy i Michałek znikły mi poza wzgórkiem. Byłem pewny, że psy wzięły zająca, więc nie pospieszałem. Dojeżdżam wreszcie i zastaję Michałka, który zsiadł z konia, w celu odebrania uszczwanej zwierzyny, klnącego siarczyście. Mówię tedy do niego: „Czegoż klniesz jak poganin". A on na to: „Jak nie kląć diabelskie czary, kiedy zając w lisa się przemienił, chyba go nie brać, bo to nie czysty". W istocie poszczuliśmy zająca, a wzięli lisa, jakim zaś sposobem, tego sobie wytłumaczyć nie umię, bo na wzgórzu ani w pobliżu nie było krzaków lub jam lisich, do których zając mógłby smyknąć, Mimo protestu Michałka przytroczyłem ogromnego lisa do siodła, a piękną jego sukienkę oddam sławetnemu panu Walentemu w Hrubieszowie do wyprawy. Dziwne, ale prawdziwe!

Dos.

13. Października.

Do rzędu spostrzeżeń nad życiem zwierząt łownych, trzymanych w niewoli, przytaczam następujący wypadek. W ubiegłym roku schwytali gońcy podczas polowania troje młodych dziczków ze stadka, liczącego około 12 sztuk. Miały zaledwie 4 do 5 dni, oddano je pod opiekę c. k. zarządzcy lasów w S. Nic prawie nie jadły, to też w kilka dni dwoje zginęło, widocznie nie mogąc się przyzwyczaić do obcej im strawy. Trzeci samczyk silny żył przez sześć tygodni i dorósł znacznych rozmiarów, w końcu jednak także życiem niewolę przepłacił, zapewne z powodu nieodpowiedniego pożywienia. Warchlak ten o tyle oswoił się z swojem położeniem, że swobodnie przechadzał się po podwórzu domostwa i poza bramę nie daleko wybiegał. Z domowymi reprezentantami nierogatego rodu wcale nie zawierał przyjaźni, stroniąc od nich, a często staczał zwycięskie walki z większymi i starszymi ich okazami, które do niego w przyjacielskich lub nieprzyjaznych zbliżały się zamiarach. Wtedy jeżyła mu się szczeć, ryjem bił przeciwnika, który wnet z pola walki ustępował. Pewnego razu dwa o kilka miesięcy starsze od niego świńczaki zaatakowały go siarczyście, lecz i tych zmusił do rychłej ucieczki. Był uważny na wszystko, co się około niego działo, psów się wcale nie lękał i z czasem chętnie się do nich zbliżał, ale respekt okazywał wobec starych wieprzów, których widocznie się obawiał. Szkoda, że zbyt krótkie życie jego dalszych nie dozwoliło badań. *C. K.*

Pismo „Natur“ donosi, iż w instytucie agronomicznym w Halli znajdowała się wilczyca, pochodząca z Polski, złączona z psem owczarskim, którego chętnie przyjęła. Zrodziła czworo wilcząt, z których troje dotąd żyje. Dodaje, iż tym sposobem kwestya krzyżowania, o której bardzo powątpiewał zmarły niedawno Nathasius, stanowczo rozstrzygniętą została.

Z nad brzegów Sanu.

Starcom takim, jak ja, dzieje się podobnie, jak kamedułom w dawniejszych czasach, kiedy to wszystkie zakony ostrzejszą obserwowali regułę. Wówczas Kamedułom nawet na Wielkanoc nie wolno było jeść mięsa, zastawiano im wprawdzie stół różnem mięsiwem, ale patrzeć się tylko na nie godziło, a nie spożywać. Jako to owi asceci widokiem sutej zastawy tłumili w sobie szatańską niby pokusę, tak też ja obarczony dwiema już siódemkami wieku, stałem się istnym Kamedułą pod względem łowiectwa, któremu z taką pasyą w ciągu całego życia mego się oddawałem. Patrzeć mi już tylko wolno na zwierzynę, staczać z nią mozolnych i krwawych harców nie mogę. Nie ma też dla mnie większej rozkoszy, jak spotkać się z nią czy to jadąc dryndą lub na szłapaku około mego gospodarstwa, budzić w sobie miłe wspomnienia lat ubiegłych i roić wnioski dla myśliwstwa. Rok, a raczej lato przeszłe, było podobno na waszych dołach nader niekorzystnem dla zwierzyny łownej łąk, pól i kniei waszych, szczególnie przy rzekach. Rozszalałe ich wody wytępiły wiele sarn i zajęcy, co też się stało w sąsiedzkiem Samborskiem nad Dniestrem i Strwiążem. Rewiry wsi Koniuszek, Dołubowa, a w części i Chłopczyc, znacznie ucierpiały pod względem łowiectwa tak bogatego w sarny i zające przed wylewem. Nisko położone te knieje w całej niemal swej przestrzeni były zalane wodą, po której ustąpieniu znajdowano wiele martwych sarn i zajęcy, a reszta ich wychudzona i chora. Wiadomo, że ta zwierzyna wobec gwałtownego naporu wody nie umie sobie radzić. Wprawdzie z łatwością przepłyną bystrą a niezbyt szeroką rzekę, ale nie ruszą w pochód przez wodę, zalewającą knieję, i giną w niej. Dziki się ocaliły, silne, wybornie pływające i brodzące dostały się do wyższych knieci. U nas w górach nie źle się dzieje. Kto prześladuje kłusowników i zwierzęce drapieżniki, ten ma dosyć zwierzyny, której wody nie zatopiły. Gdzie one wzbierały, tam nawet pozostałej zwierzynie zagraża motylica, tam przeto niezmiernie potrzebne lizawki, które jedynie ocalić mogą zwierzynę, żywiącą się na pół zgniłą od wylewów i częstych deszczów trawą. — W dniach 24. 25. i 26. Września miało się odbyć polowanie na jelenie w Beskidach Sanockich, z którego zapewne iniciator jego p. Ziętarski zda sprawę w „Łowcu“. Gdy o niem będę miał dokładną wiadomość, nie omieszkam donieść. *L.*

W r. 1883. ubito w Czechach zwierzyny pożytecznej: jeleni 1548, danieli 1542, sarn 9232, dzików 802, zajęcy 370.406, królików 15.643, głuszców 642, cietrzewi 3667, jarząbków 425, bażantów 30.579, kuropatw 408.206, przepiórek 7789, słonek 2436, bekasów 987, dzikich gęsi 202, dzikich kaczek 12.504; zwierzyny szkodliwej: lisów 2536, kun 1897, tchórzów 7905, wydr 255, borsuków 244, puhaczów 45, jastrzębi, sokołów i krogulców 38.444.

Metoda szczepienia wścieklizny Pasteura okazała się najzupełniej skuteczną dla zapobieżenia tej strasznej chorobie. „Dziennik urzędowy“ w Paryżu ogłasza raport komisyi, wyznaczonej przez ministra oświecenia, dla zbadania i zastosowania w praktyce teoryi znakomitego uczonego. Doświadczenia robione przez komisyę stwierdziły rezultaty długich i cierpliwych jego badań. Z 42 psów, które poświęcono owej próbie naukowej, zaszczepiono 23. przygotowany przez Pasteura jad wścieklizny, a gdy przechorowawszy wróciły do pierwotnego stanu, złączono je z 19 nieszczepionymi i oddano na pastwę psów wściekłych, które żadnego z nich nie oszczędziły. Z pokąsanych wszystkie, którym jad zaszczepiono, wyzdrowiały, inne wściekły się niebawem. Doświadczenie wykazało więc nader pomyślne skutki, jeżeli przeto metoda szczepienia jadu wścieklizny się rozpowszechni, to ludzkości ubędzie jedna z srodze trapiących ją plag.

---

18. Października.

Przed kilku dniami odbyły się w Kolbuszowy licytacye polowań gminnych, przy których wszędzie utrzymali się włościanie. Rekurs wniosę do Namiestnictwa, nie wiele jednak mam nadziei, by się to na co przydało, rekuruję jedynie, by sobie nic nie mieć do wyrzucenia. Odpis rekursu prześlę Wydziałowi Tow. łow. z prośbą o poparcie sprawy, może Wys. Namiestnictwo zechce więcej wglądać w stosunki łowieckie. Pora obecna zdaje mi się stosowną do poruszania takich kwestyi, gdy zbliża się chwila reformy Ustawy łowieckiej. W tych dniach znaleziono w lesie Tuszowskim, własności barona Hirsza, zastrzelonego włościanina Golę z Huty Komorowskiej. Strzał padł z tyłu w głowę. Zabity miał przy sobie strzelbę, nabitą lotkami. Poszlakowany o zabicie leśny dóbr Tuszowskich Sudoł aresztowany, nie przyznaje się do winy. Bliższe szczegóły tego wypadku nie zaniedbam później donieść. — Zastrzelono u mnie potworną srokę. *Czesław Kozłowiecki.*

Żupanie 15. Października 1884.

W skutek ciągłych skarg gmin Żupanie, Wyżłów i Klimce na wielkie szkody wyrządzane w zasiewach przez dziki i niedźwiedzie, Starostwo powiatowe w Stryju zawezwało p. Michała Brzostowskiego do urządzenia polowań celem przepłoszenia szkodników. Pierwsze polowanie zostało naznaczone na dz. 13. Października b. r. W śliczny ranek jesienny wyruszyła nie wielka gromadka myśliwych ze dworu Żupańskiego w lasy tuż nad dworem położone, zapominając, że to 13. i poniedziałek, dla myśliwych podwójnie zły omen. Dostarczona przez gminy dosyć liczna nagonka ochoczo pospieszała, opowiadając o licznych spotkaniach to z niedźwiedziem, to z dzikami. Myśliwych rozstawił dyrygujący polowaniem, z nagonką zaś i psami poszedł p. Kaźmirz Łodziński, współwłaściciel drugiego folwarku w Żupaniu, 68 letni zawiędły starzec, doskonały myśliwy, znający doskonale położenie lasów, oraz wagę zwierza. Zaledwie rozstawiliśmy się na miejscach i odgłos trąbki dał sygnał do puszczenia psów, zawrzało w miocie jak w garnku, psy puszczone w trzech miejscach, oddzielnie zaczęły gonić. Jedna sfora psów ruszyła ogromnego odyńca, który posłyszawszy nagonkę, uznał za stosowne ostrożnie się wynieść, i tylko był widziany na kilkaset kroków przez Brzostowskiego, gdy ciągle oszczekiwany przez ogary wolno wynosił się w sąsiedni ostęp. Tymczasem w miocie ciągle było słychać gon lub naszczekiwanie, psy kilka razy potokami zbliżały się do myśliwych i znów powracały, nareszcie padły dwa strzały przed psami. Wtedy każdy pospieszył przeciąć drogę, strzały stawały się gęstsze, wrzask nagonki, ujadanie psów, które pospieszyły na strzały, tworzyły wściekłą muzykę, gdy naraz padły dwa strzały prawie jednocześnie, wkrótce po nich trzeci, a od naganiacza do naganiacza, rozległ się smutny okrzyk, „naszoho panycza Kazia medwid pobyw“. Zdążającym z kilku stron myśliwym, okropny przedstawił się widok, naprzód pies połamany, potem leżący we krwi, z rozdartą głową poszarpanem odzieniem stary K. Łodziński, o kilka zaś kroków przewieszony przez zerwisko ogromny niedźwiedź. Wśród cisnącej się nagonki, tłumne i krzyżujące się opowiadania, wyjaśniły w końcu cały przebieg tego tragicznego wypadku. Dwaj strzelcy dojeżdżacze naprzód 4 razy strzelili do niedźwiedzia i każdy raz go trafili, lecz nie śmiertelnie, czem rozdrażnili zwierza tak, że gdy podleśniczy z Klimca, doskonały strzelec, strzelił doń, zwierz chociaż w szyję doskonale trafiony, obces rzucił się na niego. Młody ten sprężysty człowiek zaczął umykać w około grubego świerka. Nadbiegł dojeżdżacz i dwoma strzałami trafnymi lecz w miękkie zwrócił niedźwiedzia, który się rzucił na otaczające go psy, z tych jeden zaraz padł ofiarą. Zwierz się spuścił do potoku, opędzając się psom. Na strzały nadbiegł z jednej strony stary Łodziński, z drugiej zaś strony podążał Brzostowski. Łodziński złączył się z podleśniczym z Klimca i posunęli się naprzód w gęstwinę, gdzie wrzał gwar psów. Znów padły